ZWIE-
RZYNIEC

F. A.
OSSENDOWSKI

WYDAWN.
POLSKIE

ZWIERZYNIEC



F. A. OSSENDOWSKI

F. A. OSSENDOWSKI

—

ZWIERZYNIEC

F. A. OSSENDOWSKIEGO

Płomienna Północ

Pod Smaganiem Samumu

Biały Kapitan

Niewolnicy Słońca

Orlica

Szkarłatny Kwiat Kamelji

Pięć minut do północy

Najwyższy Lot

Męczeńska Włóczęga

Przez Kraj Szatana

Krwawy Generał

Lisowczycy

Lenin

Nieznanym szlakiem

Gasnące Ognie

W druku:

Iskry z pod młota



Znakomity zwierzyniec Pawła Romy (str. 2)

F. ANTONI OSSENDOWSKI

ZWIERZYNIEC

Z 8 ILUSTRACJAMI T. ROJANA

POZNAŃ

WYDAWNICTWO POLSKIE R. WEGNERA

*
DRUK: CONCORDIA SP. AKC., POZNAŃ
*
PRINTED IN POLAND

Opowieść tę — krótką, jak życie ludzkie,
autor z czcią głęboką
poświęca
pamięci
przedwcześnie zgasłej Przyjaciółki
o wielkiem sercu
i
duszy wrażliwej —
MARJI z Nakwaskich BIERNACKIEJ.

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ZWIERZYNIEC WĘDROWNY.

Na rynku małego miasteczka tłoczno było i gwarno. Ze wszystkich uliczek nadbiegali dorośli i dzieci. Kobiety w pośpiechu otwierały okna, wychylały się i patrzyły zaciekawione. Dziewczynki i chłopaki, powracający ze szkoły, z okrzykami radości pędziły w stronę rynku.

Psy porzuciły podwórka i ujadały zawzięcie.

Spłoszone, wylękłe stadka gołębi oddawna już zerwały się z dachów i szybowały wysoko nad domami.

Wrony z krakaniem odleciały do pobliskiego lasu.

Tylko czereda hałaśliwych, zuchwałych wróbli obsiadła gzyms dzwonnicy i szczebiotała na cały głos. Zdawaćby się mogło, że czupurne, szare ptaszki powtarzały bez przerwy pytanie:

— Co się stało? Co się stało?

Na rynku działy się istotnie rzeczy niezwykłe dla tak małej, spokojnej mieściny.

Od strony szosy wjeżdżał na drobnym, kosmatym kucyku straszliwie chudy człowiek, krzycząc w niebogłosy:

— Znakomity zwierzyniec Pawła Romy! Dajemy dwa przedstawienia dziennie!

Chudy człowiek miał na sobie ponsowe spodnie, zielony, suto wygalonowany mundur, niebieski kapelusz o złotym daszku i długie buty z ostrogami.

Kucyk był tak mały, że jeździec nogami dotykał ziemi.

Tuż za nim postępowało kilku wyrostków w czerwonych frakach.

Jeden z nich walił w bęben, inni wygrywali na trąbkach, fletach, gitarze i mandolinie. Dalej z turkotem kół toczyły się ciężkie furgony.

Duży słoń ciągnął pierwszy, najcięższy wóz. Szedł szybko, nisko pochylając łeb. Miał podwiniętą trąbę i co chwila chrapliwie parskał i mruczał, niezadowolony z obłoków kurzu.

O parę kroków za nim stąpał z wyciągniętą szyją ogromny wielbłąd dwugarbowy.

Był wprzężony do fury z ustawionemi na niej skrzyniami o mocnem okuciu z żelaznych sztab.

Dalej toczyły się inne wozy; ciągnęły je konie i muły.

Skrzynie, klatki, zwoje zielonego płótna i lin, flagi, belki, deski stanowiły ładunek większych i mniejszych furgonów.

Na jednym z nich siedziała młoda, piękna kobieta o złocistych włosach.

Obok niej stała dziewczynka, może, dwunastoletnia, z długiemi, jasnemi warkoczami i wesołemi, niebieskiemi oczami, które się śmiały do słońca, wróbli, wyboistego bruku, słonia i do tłumu, zbiegającego się ze wszystkich stron.

— Znakomity zwierzyniec Pawła Romy! Sławna pogromicielka dzikich zwierząt — Marja Roma! Mała, nieustraszona Reginka! Od jutra dwa przedstawienia dziennie!

Chudy Paweł Roma, dojechawszy do środka rynku, wyprostował nogi i stanął.

Kucyk natychmiast wyślizgnął się z pod jeźdźca ku wielkiej uciesze widzów.

Rozległy się żarty, śmiech i drwiny.

Wkrótce jednak wszyscy umilkli i niespokojnie spoglądali na chudego, jak tyka, Pawła Romę.

Jeden z wozów zawadził kołem o kamienny słupek przy chodniku i przechylił się nabok.

Z długiej, okutej skrzyni rozległ się krótki, głuchy ryk.

Trwało to jedno mgnienie oka, lecz wszyscy usłyszeli gniew i rozpacz w grzmiącym głosie zwierza, uwięzionego w skrzyni.

— Co to było? — spytał burmistrz, dotykając ramienia dyrektora zwierzyńca.

— Lew Cezar nie lubi złej drogi, — taki z niego wygodniś! — odpowiedział Paweł.

Z temi słowy pomógł złotowłosej kobiecie i dziewczynce zejść z wozu.

Na rynku wkrótce kipiała już praca.

Paweł Roma szybko się przebrał w grube granatowe spodnie i bluzę, zmienił buty z ostrogami na proste pantofle filcowe i na czele swoich muzykantów i furmanów zaczął urządzać zwierzyniec.

Z niezwykłą sprawnością i szybkością sklecono z belek i desek długą szopę, wtoczono do niej skrzynie ze zwierzętami i klatki, a, gdy wszystkie stały już we wnętrzu, tajemniczy budynek zamknięto na dużą kłódkę.

Jeden z wyrostków wbił w ziemię żelazny drąg i krzyknął do dyrektora:

— Można uwiązać Gustawa?

Paweł Roma skinął ręką.

Wyrostek podszedł do słonia, wyprzągł go i założył mu na lewą, przednią nogę mocny łańcuch, uwiązany do wbitego w ziemię drąga.

Słoń machnął kilka razy cienkim ogonem, podniósł trąbę i ryknął radośnie.

— Wstydź się Gustawie! — upominał go chłopak. — Nie znają tu ciebie jeszcze, a ty już hałasujesz! Cóż mogą pomyśleć o tobie, przyjacielu, ci dobrzy ludzie?

„Gustaw“ natychmiast podwinął trąbę i, zerkając małemi, filuternemi oczkami, cichutko mruczał.

Jakiś chłopczyk z tornistrem na plecach klasnął w dłonie i wydobył z kieszeni kawał piernika.

Słoń wyciągnął trąbę i prychnął zachęcająco. Chłopczyk ostrożnie podał mu przysmak. „Gustaw“ jeszcze ostrożniej wziął go i, włożywszy do paszczy, schrupał, z zadowolenia poruszając uszami, podobnemi do szerokich liści łopuchów.

Tymczasem Paweł ze swoimi pomocnikami zbudował zagrodę, do której wpuszczono konie, muły i wielbłąda.

Po tej czynności przyszła kolej na rozpięcie dużego zielonego namiotu z napisem: „Zwierzyniec Pawła Romy".

— No! — zawołał wreszcie dyrektor. — Teraz, chłopcy, skoczcie po mięso, siano, owies i jabłka. Dajcie pokarm zwierzętom, a później biegnijcie do zajazdu! Będziemy na was czekali z obiadem!

Gwizdnął wesoło i zniknął w namiocie.

Po chwili wyszedł już przebrany i skierował się ku zajazdowi.

Tłum zaciekawionych mieszkańców miasteczka nie rozchodził się jednak. Dorośli i mali przyglądali się uważnie temu, co się działo dokoła zwierzyńca.

Pomocnicy Pawła przywlekli kosze z surowem mięsem, wory z jabłkami i owsem i sprowadzili furę, naładowaną świeżem sianem.

Zgromadzony tłum widział, jak służba dawała paszę zwierzętom, stojącym w zagrodzie, i kil-

ka wiązanek siana — „Gustawowi", który z wesołym pomrukiem ochoczo przystąpił do obiadu.

Z szopy dochodziły groźne ryki, wycie, skowyt, jakgdyby znajdujące się tam zwierzęta walczyły ze sobą lub szarpały kogoś.

Krzyczały i skrzeczały jakieś ptaki. Rechotały niecierpliwie małpy.

Szopa nie była zbyt mocna, ledwie sklecona naprędce, więc trwoga zakradała się do serc mieszkańców miasteczka.

Każdy zadawał sobie w myśli pytanie:

— A co będzie, jeżeli dzikie zwierzęta wyrwą się z klatek?

Tłum szybko się rozpraszał.

Minęło kilka minut i przez prawie pusty już rynek przeszli pomocnicy Pawła Romy, spiesząc do zajazdu na obiad.

W szopie powoli zacichały głosy zwierząt i ptaków.

Najedzone konie i muły pokładły się w zagrodzie; obok nich tkwił ogromny wielbłąd i żuł twarde badyle, wyszukując je w sianie.

„Gustaw" też spożył swoją porcję; stał teraz nieruchowy i drzemał. Był znużony ciężką i daleką drogą.

Nagle drgnął, podniósł trąbę i ryknął krótko, boleśnie.

Po chwili ryknął znowu i jął trąbić donośnie, jakgdyby wołając o pomoc. Słoń poruszał się niespokojnie, szarpał łańcuch, chcąc go zerwać.

Do zajazdu, gdzie rodzina Romów wraz z pomocnikami swymi siedziała przy obiedzie, wpadł policjant i zawołał:

— Słoń wam się wściekł! Biegnijcie, bo zerwie łańcuch i ucieknie!

Paweł Roma spokojnie podniósł na mówiącego oczy i odparł:

— To znowu te chłopaki — nicponie dokuczają Gustawowi! Tyle wszędzie złych dzieci spotykamy na nasze nieszczęście! Reginko! Biegnij i uspokój Gustawa!

Dziewczynka wyszła natychmiast, trzymając w ręku jabłko.

Na rynku biedny „Gustaw" wściekał się istotnie. Wymachiwał trąbą, ryczał przeciągle, niby



„Gustaw" z wesołym pomrukiem ochoczo przystąpił do obiadu (str. 7)

się skarżył, podskakiwał, szarpał łańcuch i groźnie podnosił uszy.

— Co ci jest, Gustawie?! — zawołała dziewczynka, podchodząc do olbrzyma. — Ktoś niedobry skrzywdził „małego“ przyjaciela? Nieprawdaż? Pokaż-no!

Słoń wyciągnął trąbę, pomrukując żałośnie.

Dziewczynka obejrzała ją uważnie i zawołała:

— Jacy niedobrzy ludzie! Nie mają serca i uczciwości! Krzywdzą bezbronne zwierzęta...

To mówiąc, wyjęła z trąby słonia tkwiące w niej dwie strzały, z igłami na końcach, i zaczęła rozcierać zranione miejsca, pieszczotliwie przemiawając do przyjaciela.

Słoń jednak wciąż wydawał żałosne porykiwania.

— Cóż ci jeszcze dolega? — pytała dziewczynka i uważnie oglądała zwierzę. Wreszcie spostrzegła dość dużą strzałę, która utkwiła mu w brzuchu.

— No teraz już wszystko!... zawołała Reginka. — Uspokój się nareszcie i nie jęcz, Gustawku! Masz na pociechę!

Wyciągnęła rączkę, podając mu duże, rumiane jabłko.

Gustaw nie tknął przysmaku; trąbą objął dziewczynkę wpół, podniósł i długo dmuchał na nią ciepłym oddechem. Miało to oznaczać pieszczotę. Dopiero postawiwszy przyjaciółkę na ziemi, wziął jabłko i, przymknąwszy oczy, wrzucił je do paszczy.

Dziewczynka tymczasem bacznie oglądała stojące na rynku domy.

Jej bystre oczki natychmiast dojrzały dwóch chłopców, zaczajonych za załamaniem płotu i trzymających w ręku łuki.

Reginka jednym susem była przy nich. Nic nie mówiąc, porwała jednego z nich za rękę i przywlokła do „Gustawa". Chłopak się szamotał rozpaczliwie, lecz dziewczynka — wygimnastykowana i silna — ciągnęła go do uwiązanego słonia.

— Masz tego nicponia, Gustawie! — zawołała. — Ukarz go sam!

Ujrzawszy przed sobą wroga, który sprawił mu ból, „Gustaw" podniósł uszy i chrapnął groźnie. Spostrzegł w ręku napastnika łuk ze strzałą. Namyślał się przez chwilę, a później szybkim ruchem wyrwał mu broń i odrzucił daleko. Na-

stępnie zerwał mu czapkę z głowy i cisnął o ziemię. Chłopak dygotał ze strachu, blady, oniemiały z przerażenia.

„Gustaw“ zrozumiał przestrach małego swawolnika, ostrożnie dotknął trąbą jego ramienia, a potem objął go i dmuchnął pojednawczo.

Zdawał się mówić:

— No — no, już dobrze! Teraz — zgoda!

Wywijał przytem ogonem wesoło, a małe oczki śmiały mu się filuternie.

— Gustaw już nie gniewa się na ciebie — rzekła Regina. — Idź teraz i nie krzywdź biedaka!

Chłopak oprzytomniał, lecz nie uciekał. Stał i patrzał na słonia. Nagle spłonął rumieńcem i zaczął szperać w kieszeni bluzki. Znalazł kawałek cukru i ofiarował go Gustawowi.

Olbrzym, zadowolony, schrupał przysmak i oblizał się łakomie.

Czekał, myśląc, że, być może, w kieszeni chłopca znajdzie się jeszcze coś smacznego.

Ten jednak nic już nie wygrzebał, więc pogłaskał słonia po trąbie i szepnął:

— Przepraszam Gustawa!... Postąpiłem bardzo, bardzo źle, ale więcej już nigdy tego robić nie będę!

— Jak ci na imię? — spytała go dziewczynka.

— Stefan... — odpowiedział.

— Pogodziłeś się z Gustawem, Stefanie, a pamiętaj, że jest to bardzo poczciwe i szlachetne zwierzę! — rzekła. — Opowiedz o tem, co tu zaszło, innym chłopcom i bądźcie przyjaciółmi Gustawa. On nigdy was nie skrzywdzi.

— Pobiegnę do domu po cukier dla Gustawa! — zawołał chłopak.

Słoń, widocznie, zrozumiał, bo co chwila podnosił uszy, wymachiwał radośnie ogonem, oglądał się za chłopcem i niecierpliwie przestępywał z nogi na nogę.

— Nikt ciebie więcej nie skrzywdzi! — rzekła dziewczynka, klepiąc „Gustawa" po boku. — Teraz zostawiam ciebie samego, bo jeszcze obiadu nie skończyłam.

Słoń dmuchnął na nią i coś mruknął.

Może, dziękował za obronę, a, może, przepraszał za kłopot?

Gdy rodzina Romów powróciła do zwierzyńca, — dokoła olbrzymiego słonia roiło się od dzieci. Karmiły go cukrem, jabłkami, marchwią i sałatą, czepiały się trąby, przechodziły mu pod brzuchem niby pod jakimś ogromnem sklepieniem, opartem na czterech grubych słupach.

Gustaw żuł, mruczał, chuchał na małych przyjaciół, wesoło wywijał ogonem ku wielkiej uciesze dziatwy, lecz nie zapominał zapuszczać trąby do kieszeni Stefana, bo były wypchane cukrem i chlebem.

Paweł Roma i jego ludzie ustawiali w namiocie ławki i wielką klatkę drewnianą, oplecioną grubemi sznurami.

Marja Roma z córeczką poszły do szopy, aby obejrzeć zwierzęta i ptaki, dać im wody, sprzątnąć ogryzione kości, oporządzić klatki.

Gdy skończyły z tem, zaczęły zawieszać mosiężne obręcze, z siedzącemi w nich papugami i małemi małpkami. Zabawne zwierzątka wskakiwały im na ramiona, głaskały po twarzy i całowały, zupełnie tak, jak to czynią dzieci.

Z drewnianej skrzyni wysunęła się nagle kosmata łapa i ostrożnie dotknęła nóżki przebiegającej obok Reginki.

— Ach! — zawołała dziewczynka. — Misia dotąd nie wypuszczono z klatki! Nudzi mu się w niej!

Podniosła rygiel i otworzyła skrzynię.

Okrągły, niby kula, zupełnie czarny niedźwiadek natychmiast wytoczył się z niej i, radośnie pomrukując, fiknął koziołka, stanął na tylnych łapach, a potem usiadł grzecznie.

— Bardzo pięknie, mój Misiu! — zawołała dziewczynka. — Jesteś mądry i zdolny. Masz kawałątko cukierka!

Niedźwiadek podniósł się, oparł przednie łapy o ramiona dziewczynki i zlizywał niebieskim językiem cukierek z jej dłoni, głośno cmokając.

Dziewczynka długo jeszcze krzątała się koło klatek, a niedźwiadek, jak cień, przewalał się za nią.

W końcu szopy dziewczynka stanęła przed dużą klatką, z opuszczoną na kraty płachtą.

Odrzuciła ją i zbliżyła się do żelaznych prętów. Z głębi klatki błysnęła para żółtych, jarzących się ślepi.

Długie, zwinne, pręgowane ciało przyskoczyło do krat.

Ogromna rozwarta paszcza przycisnęła się do nich i błysnęła kłami.

— Nie poznałeś mnie, Bengalu! — szepnęła dziewczynka, cofając się.

Tygrys, posłyszawszy znajomy głos, uspokoił się. Paszcza zamknęła się powoli, w oczach znikła niepohamowana wściekłość.

Żółte ciało, przepasane czarnemi pręgami, nie kurczyło się już, gotowe do skoku i walki. Ogon zesztywniał i nie smagał boków. Uszy, przyciśnięte do czaszki, prostowały się powoli.

Bengal wydał głuche, łagodne miauczenie.

— No, tak! No, tak! — rzekła dziewczynka. — A teraz kładź się, popieszczę cię!

Tygrys wyciągnął się tuż przy kracie, przyciskając do niej głowę.

Reginka zaczęła drapać go za uchem. Straszliwy zwierz mruczał i prężył się rozkosznie.

Chociaż łasił się, był to wszakże straszliwy, niebezpieczny drapieżnik.

Wiedział o tem dobrze czarny Miś.

Stanął obok dziewczynki; jedną łapą trzymał się krawędzi klatki, a drugą podniósł, aby w potrzebnej chwili obronić swoją panią.

Jednak Bengal nie miał zamiaru napadać.

Był najedzony i cieszył się z pieszczoty.

Lubił to drapanie za uchem zupełnie tak, jak małe kotki domowe.

— Chodź już, Reginko! — zawołała matka. — Musimy iść do zajazdu i dobrze się wyspać, bo jutro czeka na nas ciężka praca. Przez cały dzień będzie się tu przesuwał tłum, a poza tem dajemy dwa przedstawienia!...

Przed wieczorem na rynku zapadła cisza.

Szopę zamknięto.

Przy drzwiach siedział na zydlu jeden z dozorców zwierzyńca i drzemał.

Cicho pobrzękiwał łańcuchem „Gustaw".

Olbrzym z opuszczoną głową i zwisającą do ziemi trąbą spał, stojąc na grubych, do słupów podobnych nogach.

Od czasu do czasu z szopy donosiło się chrapliwe miauczenie Bengala, głuche, leniwe westchnienia lwa, parskanie koni i mułów, stojących w zagrodzie.

Chwilami rozlegał się zgrzytliwy krzyk nagle przebudzonej papugi; krótkiem, urwanem rechotaniem odpowiadały jej małpki.

I znowu basowy, niby z oddali nadpływający, groźny ryk Cezara...

Stukał gdzieś stróż nocny kołatką, obchodząc ulice miasteczka; szczekał pies; piały koguty.

Wszystko powoli milkło.

Pokój i sen spływały na ludzi i zwierzęta.

Po jasnem niebie cicho sunął księżyc; migotały gwiazdy; lekki wietrzyk prawie bez szmeru poruszał liście lip i dębów.

Noc...

ROZDZIAŁ DRUGI

W ZWIERZYŃCU PAWŁA ROMY.

Nazajutrz przypadała niedziela.

Dorośli mieszkańcy miasteczka nie mieli tego dnia pracy, dziatwa nie potrzebowała iść do szkoły.

Nic więc dziwnego, że po skończonem nabożeństwie w kościółku matki i ojcowie prowadzili ze sobą dzieci na rynek, aby obejrzały zwierzyniec Pawła Romy.

Dyrektor już czekał na gości i przygotował się na ich spotkanie.

Szopę pobielono wapnem i oklejono barwnemi afiszami. Widzowie mogli podziwiać na nich lwy i tygrysy, skaczące przez obręcze; niedźwiedzie, roznoszące tace z kuflami piwa; konie w pięknej uprzęży z tańczącą na nich dziewczynką w krótkiej, białej sukience.

Przy małym stoliku siedziała Marja Roma i sprzedawała bilety.

Jeden z wyrostków — w białym stroju i czapce błazeńskiej — krzyczał, dzwonił i walił w bęben, zachęcając publiczność do zwiedzenia zwierzyńca.

Dorośli i mali tłumem otoczyli szopę i cisnęli się do niej.

Każdy z widzów chciał przed innym dostać się do wnętrza i przyjrzeć się zbliska dzikim zwierzętom, pięknym, barwnym ptakom i figlarnym małpkom, kołyszącym się na zwisających z pułapu trapezach.

Wkrótce cały zwierzyniec po brzegi wypełnił się publicznością.

Ci, którzy się spóźnili, narzekali głośno.

Spostrzegł to dyrektor i zawołał wesołym głosem:

— Szanowna publiczność raczy zaczekać, aż tamci, którzy wcześniej przybyli, obejrzą znakomity zwierzyniec Pawła Romy.

— To nudne i nieznośne, niby ból zębów! Będziemy czekali dwie godziny! — krzyknął miejscowy dentysta, człek niecierpliwy i gburowaty.

— Moja córka, nieustraszona Regina, zabawi tymczasem szanowną publiczność! — oświadczył z ukłonem Paweł Roma i klasnął w dłonie.

Na ten znak z zagrody wybiegła dziewczynka, prowadząc za sobą wielbłąda.

Tłum otoczył ją, lecz wnet powstał zgiełk i rozległy się krzyki przestrachu.

To Miś narobił gwałtu.

Roztrącał ludzi i przedzierał się do Reginki. Stanął obok niej na tylnych łapach, kręcił kosmatą głową i mruczał niespokojnie.

Dziewczynka zawołała wesołym głosikiem:

— Proszę panów i panie nie obawiać się niczego! Nasz miły Miś jest bardzo dobrze wychowanym i zupełnie łagodnym niedźwiadkiem; nikomu nic złego nie uczyni.

To powiedziawszy, zwróciła się do wielbłąda, pięknie przybranego wstęgami i kitami barwnych piór.

— Kamo, kładź się! — krzyknęła.

Wielbłąd z ciężkiem westchnieniem ukląknął, a po chwili podchylił pod siebie długie tylne nogi.

Dziewczynka usadowiła się wygodnie między garbami dziwacznego wierzchowca.

— Kamo, wstań! — rozlełga się nowa komenda.

Wielbłąd szybko podniósł się, obszedł rynek dokoła, a, gdy znowu stanął przed zwierzyńcem, Reginka rzekła do niego spokojnym głosem:

— Kładź się!

Zeskoczyła na ziemię i kazała Kamowi wstać.

— Teraz pokażę państwu inny sposób wsiadania na wielbłąda! — zawołała, uśmiechając się do publiczności. — Sposób pierwszy jest w użyciu u Mongołów, drugi — u Arabów i Twaregów Sahary. Kamo, pochyl się!

Wielbłąd posłusznie opuścił długą szyję aż do ziemi.

Dziewczynka oparła się na niej jedną nóżką, a silne zwierzę podniosło ją i z łatwością zarzuciło sobie na grzbiet.

Po tych pokazach Reginka pozwoliła życzącym spróbować jazdy na wielbłądzie.

Dorośli i mali ze śmiechem i wesołemi okrzykami okrążali rynek, kołysząc się na wysokim grzbiecie Kama.

— Jest to bardzo potulne, posłuszne zwierzę, chociaż w dwa razy silniejsze od konia — objaśniała Reginka.

Cały tłum chodził za Kamem, czekając na swoją kolej, aby dostać się na jego grzbiet i odbyć krótką wycieczkę. Dziewczynka skorzystała z tego, aby opowiedzieć garnącej się do niej dziatwie, jak to długie karawany, złożone nieraz z setek ładowanych ciężarami wielbłądów, przecinają leżącą w środku Azji bezludną, zupełnie pozbawioną nieraz trawy i wody pustynię Gobi, gdzie te pożyteczne, pracowite zwierzęta pozostają często przez kilka dni bez jedzenia i picia, nie skarżąc się i nie tracąc sił.

— Tylko garby im chudną i opadają — objaśniała Reginka. — Po ciężkiej pracy i dalekiej podróży ludzie wypuszczają wielbłądy na paszę, a, gdy garby znów napełnią się tłuszczem i zesztywnieją, to wtedy nastaje nowy okres pracy dla tych pożytecznych zwierząt.

Dziewczynka opowiadała, że dwugarbowy wielbłąd azjatycki nie umie biegać szybko, ale zato może z jednakową wytrwałością przechodzić codziennie po 50, a nawet 60 kilometrów w lecie i w zimie, po piasku i po górach; zwierzę to idzie bardzo ostrożnie i, chociaż niesie na grzbiecie, cięż-

kie, ważące nieraz do 250 kilogramów skrzynie i wory z towarami, nigdy nie potyka się i nie ślizga.

Wielbłąd arabski i afrykański, czyli „dromader“ posiada jeden garb; niektóre gatunki tego zwierzęcia, jak naprzykład „mehari“ lub „biszariny“ odznaczają się zdolnością do szybkiego biegu, lecz nie są tak silne, jak wielbłąd dwugarbowy lub „baktryjski.“

— Ludzie bardzo słusznie nazywają je „okrętami pustyni“, bo bez nich przez długie wieki niktby nie mógł podróżować przez Gobi lub Saharę — te dwie największe i najniebezpieczniejsze pustynie — zakończyła swe opowiadanie dziewczynka i zawołała: — No, a teraz zabawi was mały Miś! Zaczynaj, kosmaty przyjacielu!

Niedźwiadek nie dał się długo prosić.

Natychmiast fiknął jeden po drugim aż trzy koziołki.

Stanąwszy na tylnych łapach i cichutko mrucząc, zaczął przestępować z nogi na nogę, udając, że tańczy.

— Tak to każdy potrafi! — zaśmiała się Reginka. — Pokaż coś zabawniejszego, Misiu!

Czarna kula potoczyła się do zagrody i wkrótce powróciła.

Miś maszerował, trzymając na ramieniu drąg z wiszącemi na nim wiadrami.

— Oj-jej! — zawołały dziewczyny z pobliskiej wioski. — Niedźwiedź wybrał się po wodę! Cha! Cha! Cha!

Kosmaty artysta tymczasem odrzucił wiadra i, ująwszy butelkę, porwał ją przedniemi łapami i jął pić. Skończywszy, chodził, zataczając się i głośno porykując.

— Miś udaje pijanego — objaśniała Reginka. — Widzicie, jak to brzydko być podpitym? Nawet niedźwiedzie wyśmiewają się z takich!

Niedźwiedź tymczasem rozstawił kręgle i zaczął ciskać kulą, zręcznie zbijając figury. Skończywszy z tem, przyniósł z namiotu tacę z kuflami i stanął przed dziewczynką.

Nalawszy do kufli piwa, Reginka podprowadziła swego wychowanka do proboszcza, burmistrza, lekarza i sędziego, częstując ich piennym napojem.

Panowie pili, a Miś zerkał ku nim małemi oczkami, oblizywał się i mruczał.

Gdy odnosił opróżnione kufle, zatrzymał się nagle, postawił tacę na ziemi i, pochyliwszy się nad nią, łakomie wypił resztki piwa poczem pokulał dalej, przewalając się zabawnie.

— Nicponiu łakomy! — zgromiła go Reginka.

Miś obejrzał się i mruknął krótko, ale wymownie.

Przepraszał...

Tymczasem w zwierzyńcu gwarno było. Rozlegał się śmiech, okrzyki podziwu, a chwilami — przestrachu.

Głosom widzów wtórowały ryki, miauczenie, warczenie, skowyt dużych i małych zwierząt; rechotały małpki, skrzeczały i darły się wniebogłosy papugi; gwizdały, śpiewały i szczebiotały drobne ptaszki; żóraw trąbił, nadymając szyję; mruczały niedźwiedzie; dzwoniąc łańcuchami, szczekały zawzięcie ogromne, czarne brytany i wesoło wymachiwały ogonami.

Większość przykutych na łańcuchach i zamkniętych w klatkach zwierząt i ptaków prosiła w ten sposób o datek.

Publiczność istotnie przyniosła z sobą różne przysmaki.

Małpki dostawały jabłka i gruszki; jelenie, sarny, króliki i zające — marchewkę; wiewiórki — orzechy; niedźwiedzie i psy — chleb; papugi i inne ptaki — cukier.

Wszystko to cisnęło się do prętów klatek, wyciągało szyje ku ludziom.

Tylko płowy, grzywiasty lew — Cezar i pręgowany Bengal leżały w głębi klatek i spoglądały na tłum z pogardą i oburzeniem.

Ogromne paszcze chwilami marszczyły im się groźnie, ukazywały potworne, ostre kły i wydawały chrapliwy ryk.

Były też inne zwierzęta, dzikie, nieposkromione: plamista hiena, ponura, odrażająca mieszkanka skwarnej Afryki; duży, prawie biały wilk — postrach naszych owiec i kóz; czarno-brunatna kuna i ryś północny, o rudawo-szarem futrze w ciemne centki, o uszach długich, zakończonych miotełkami czarnych włosów, i o bokobrodach, spadających aż na pierś drapieżnika.

Hiena, żywiąca się świeżem mięsem a także

padliną, nie chciała tknąć wrzucanych do klatki kawałków chleba i owoców. Leżała nieruchomo i spoglądała ponuro złemi, żółtemi ślepiami.

Od czasu do czasu zrywała się z miejsca, zaczynała się miotać po klatce, wysoko zadzierać krótki, wstrętny pysk i chichotać przenikliwie, przerażająco.

W stojącej obok skrzyni wilk ani chwili nie pozostawał w spokoju. Nisko opuściwszy ponurą głowę, biegał z kąta w kąt, ocierał się bokami o pręty klatki i od czasu do czasu głucho szczekał i wył przeciągle, chociaż na nikogo nie patrzył i nie zwracał uwagi na rzucany mu chleb.

Kuna siedziała w dziupli pnia lipowego i tylko chwilami na jedno mgnienie oka wysuwała drapieżny pyszczek, z czarnemi, jarzącemi się wściekle oczkami.

Wypłoszona stukiem lasek o klatkę, śmigała w niej, jak błyskawica, i znowu kryła się w wydrążonym pniu.

Nocne drapieżne zwierzątko, napadające na śpiące głuszce, cietrzewie, kuropatwy, wiewiórki i nieostrożne zające, wychodzące na żer po za-

chodzie słońca, pożądało spokoju i snu. Tymczasem kunę drażnił gwar głosów ludzkich, śmiechy, uderzenia o pręty klatki. Stawała się coraz wścieklejsza, syczała i szczerzyła drobne, ostre ząbki.

Ryś leżał na półce, w głębi klatki.

Widzom wydawało się, że był martwy, gdyż nikt nie mógł spostrzec najmniejszego ruchu w sztywnem, plamistem ciele i w mocnych łapach. Jednak od czasu do czasu połyskiwały jasne żółtozielone oczy i drgał czarny koniec ogona.

Jeszcze jedno zwierzę okazywało obojętność, a nawet wrogość do ludzi.

Był to jeżozwierz, okryty długiemi, ostremi, pasiastemi kolcami.

Miał bardzo groźny, odstraszający wygląd.

Stał w klatce tyłem do publiczności. Podniósł wszystkie swoje igły i szczeciniastą grzywę.

Gdy ktoś z publiczności wyciągał do niego rękę, jeżozwierz potrząsał ogonem, a wtedy rozlegał się trzask, łoskot i dudnienie; zwierzę czyniło hałas pustemi igłami, niby grzechotką, tupało tylnemi łapami i mruczało głucho.

— Jakie straszne czupiradło! — zawołała mała dziewczynka, patrząc z przerażeniem na nieprzychylnego mieszkańca klatki.

— O! — zawołał stojący wpobliżu nauczyciel szkolny. — Jest to bardzo płochliwe i zupełnie nieszkodliwe zwierzątko z rodzaju gryzoniów, jak nasz zając, królik i szczur. Spójrz-no na tą czarną, wystraszoną mordkę i błyszczące oczki! Bardzo miły zwierzaczek! Jedyną obronę jego przed napastnikami stanowią kolce, jak u naszego jeża, tylko znacznie dłuższe i ostrzejsze. Zdoła on jednak odstraszyć niemi i tym groźnym, choć zupełnie nieszkodliwym hałasem —jedynie drobnych napastników. Większe zwierzęta zawsze potrafią zwalczyć jeżozwierza; człowiek zaś, jak to czynią myśliwi arabscy i włoscy, nie boją się pogróżek jego, porywają za grzywę i w ten sposób zdobywają zwierzę. Zachowajcie na chwilę ciszę i nie straszcie biedaka, a ujrzycie coś ciekawego!

Istotnie, gdy się uciszyło dokoła, jeżozwierz ostrożnie się obejrzał, po chwili opuścił swoje igły i podbiegł do leżących w klatce marchewek i buraków. Trzymając pożywienie przedniemi łapami,

zaczął je ze smakiem chrupać, rozkosznie kwicząc.

— Widzicie, dzieci, jakie potężne przednie łapy posiada jeżozwierz i jakie ma na nich mocne pazury? — spytał nauczyciel. — Potrzebne mu one są, aby mógł szybko kopać ziemię, bo na wypadek niebezpieczeństwa szybko zarywa się i urządza sobie w niej głębokie schronisko.

Cały tłum stał przed papugami.

Niektóre z nich siedziały w mosiężnych obręczach, kołysząc się i skrzecząc przeraźliwie.

Były tam ogromne niebiesko-żółte i czerwono-szafirowe „arary" z długiemi ogonami; białe „kakadu" o pierzastych czubach; szaro-purpurowe, grube „żako"; mniejsze od nich zielone papugi i siedzące parami, nigdy się nierozłączające ze sobą zielono-żółte, drobne papużki, zwane z tego powodu „inseparablami".

Bractwo to skrzeczało i wrzeszczało z całej mocy, jakgdyby chciało zagłuszyć inne głosy.

Wspaniała koralowo-niebieska „arara", pełznąc głową nadół po drążku, wrzasnęła nagle:

— Wstawać czas! Czas! Czas!

Poważny sędziwy „żako“, należący do najbardziej mądrego gatunku papug, poruszył się niespokojnie. Podniósł głowę z mocnym haczykowatym dziobem, obejrzał się na wszystkie strony i, pogardliwie mrużąc oczy, skrzeknął:

— Arara — dureń! Arara — dureń!

Szafirowo-żółta arara, natychmiast, chociaż niebardzo trafnie, odkrzyknęła:

— Dziękuję!... Dziękuję!... Dobranoc!...

Żako napuszył się i wybełkotał:

— Wujku Pawle, dzień dobry! Żako grzeczny... Żako chce cukru... Fju, fju, wujku Pawle, dzień dobry!... Hallo!

Inne arary, kakadu, zielono-żółte papużki gwizdały, skrzeczały i usiłowały naśladować głosy ludzi.

Zewsząd dochodziły urwane słowa:

— Arrr — arrra! Hehehe! Hallo!... Kakkadu... hallo... fju... hehehe...

Widzowie, słysząc to, zanosili się od śmiechu.

Częstowano papugi cukrem i orzechami.

Ptaki brały przysmaki chwytnemi łapkami i podnosiły do dziobów.

Czasem kawał cukru lub piernika padał na ziemię.

Wtedy podskakiwał, wymachując skrzydłami, żóraw, czujny i baczny na wszystko, co się działo dokoła, i porywał smaczny kąsek.

Pokrzywdzona, niezgrabna papuga darła się wniebogłosy; niezawodnie — urągała żórawiowi.

Stary „żako" spokojnie przyglądał się zajściu i z uporem powtarzał:

— Arara — dureń! Arara — dureń! Hallo!...

W dwuch końcach szopy zwierzyńca gromadził się jednak największy tłum.

Dziatwa obstąpiła ze wszystkich stron dużą klatkę z małpami.

Wesołe, zwinne stworzonka łaziły po prętach kraty, huśtały się na trapezach, wdrapywały się aż pod sam pułap po linie, goniły się, skakały i rechotały.

Co chwila któraś z małpek porywała rzucony do klatki kawałek jabłka lub gruszki i zmykała w najdalszy kąt, aby spokojnie spożyć przysmak.

Nie udawało się to jednak żadnej, bo inne ścigały ją, aby odebrać zdobycz.

Krzycząc i piszcząc, cała zgraja małpia miotała się w klatce, czepiała się kraty, goniąc zręczniejszą towarzyszkę.

Wszystko się uspakajało dopiero wtedy, gdy małpka wpychała sobie kawał jabłka do pyszczka, a potem siadała — spokojna i drwiąca.

Miała przekorną minkę i jeden policzek mocno wydęty. Tam to właśnie ukryła swoją zdobycz do czasu, aż będzie mogła zjeść ją bez obawy.

Nauczyciel, palcem wskazując różne okazy, objaśniał roześmianym, rozbawionym dzieciom:

— Te ogoniaste małpki o szaro-zielonem futerku i jasnych włosach dokoła twarzy — nazywają się po arabsku „abułandż" czyli zielona małpa, bardzo pospolita mieszkanka Afryki, nadzwyczaj łatwo dająca się ułaskawić. Ta — ciemniejsza i mniejsza — to makak japoński, a tamta znów, pozbawiona ogona, to również makak, żyjący na wolności w południowej Europie.

— A jak się nazywają te małpy z pyskami psiemi? — zapytał nauczyciela ksiądz-proboszcz.

— Są to pawiany — odparł zapytany. — Należą one do gatunku największych i najsilniej-

szych małp i są mieszkańcami gór w Afryce, Arabji i Indjach. Słyną z niepohamowanego charakteru, przebiegłości i natręctwa. Murzyni i Arabowie walczą z pawianami, ponieważ te małpy niszczą i plądrują im pola. Pawiany nieraz napadają nawet na lamparta. Mniejsze nieco od nich i pozbawione grzywy stanowią rodzinę *babuinów*, czyniących straszliwe spustoszenia na plantacjach orzechów ziemnych, manjoki, bananów. W Afryce zachodniej małpy te koczują ogromnemi, liczącemi setki głów stadami i niszczą wszystko na swej drodze.

Opowiadanie przerwała czarna małpka, okryta obfitem, połyskującem futerkiem, o białych bokobrodach i długim, białym ogonie.

Złapała właśnie małego, dokuczliwego makaka, który, mimo przestróg, kilka razy pociągnął ją za ogon.

Małpa zacisnęła łobuza pod pachą i starannie dawała mu „w skórę“, nie zwracając żadnej uwagi na jego jazgot i pisk.

— Cha! cha! — zaśmiał się nauczyciel. — To znowu afrykańska *czarna małpa*. Przebywa ona na

wierzchołkach najwyższych drzew i zwykle pierwsza, jeszcze przed obudzeniem ptaków, wita słońce głuchym, a donośnym okrzykiem... Niektóre szczepy murzyńskie, zamieszkujące Wybrzeże Kości Słoniowej, Liberji i Sierra-Leone, uważają te małpki, z powodu siwych włosów dokoła twarzy, za „najstarszych ludzi“, pierwotnych obywateli tych krajów... Aha! Nie będziesz więcej, nicponiu, dokuczał czarnej małpce?!

Makak, otrzymawszy porządne „lanie“, wgramolił się na sam wierzch klatki. Usiadł tam i rechotał żałośnie.

Widocznie, skarżył się lub usprawiedliwiał.

Czarna małpka, pozbywszy się natręta, spokojnie gryzła orzech; spoglądała wokół mądremi ślepkami i zabawnie wykrzywiała wyrazistą mordkę.

Paweł Roma, przechadzając się w tłumie, oznajmiał:

— Jutro pokażemy państwu inne osobliwości! Najszlachetniejszą małpę... Dziś nie możemy, gdyż jest niedysponowana...

— Jakiż to gatunek? — zapytał zaciekawiony nauczyciel.

Roma pochylił mu się do ucha i szepnął:

— O r a n g u t a n... bardzo piękny orangutan! — szepnął z tajemniczą miną dyrektor zwierzyńca!

— Ależ to bardzo rzadki i cenny okaz! — zawołał nauczyciel.

— Tak! — odpowiedział Roma. — Nabyłem go niedawno w Gdyni, dokąd przywiózł go z wyspy Jawy kapitan okrętu, ładowanego ryżem dla polskiej łuszczarni.

— No, przecież wielkie wyspy Sundzkie są ojczyzną tych największych i najbardziej inteligentnych małp: Sumatra, Celebes, Borneo, Jawa... wogóle — archipelag Malajski — dodał nauczyciel.

— Tak... tak! — potwierdził Paweł Roma i, nagle ożywiając się, zawołał:

— Nie zapomnijcie, szanowne panie i czcigodni panowie, zajrzeć do tych małych klatek, gdzie umieszczone są drobniejsze i bardziej delikatne gatunki małpek. Są tam milutkie *uistiti*, małpeczka *złota*, *płaczka-kapucynka*, *srebrna* małpka i *jedwabista* z pióropuszami z czarnych włosów na

uszach... Proszę obejrzeć, bo zasługują na to... Bardzo proszę!

To powiedziawszy, zbliżył się do tłumu, stojącego przy klatkach drapieżników.

Panowała tu skupiona cisza; umilkły wybuchy śmiechu; ludzie nie odważali się nawet mówić głośno.

Nie był to jednak strach, wzbudzany przez lwa, tygrysa i rysia.

Każdy z widzów rozumiał, że klatki z grubych desek, żelazne okucia, rygle i kraty są zbyt mocne, aby zwierzęta mogły się z nich wyrwać.

Wielkie koty nie zdradzały też żadnych wrogich zamiarów.

Bengal przyglądał się ludziom uważnie.

W jego żółtych ślepiach nie było gniewu.

Wzrok swój przenikliwy, ostry wbijał w oczy ludzi. Zdawało się, że chciał zajrzeć do ich wnętrz, szukał tam czegoś, co niepokoiło go zawsze.

Widzowie czuli się tak, jakgdyby tygrys swemi oczami przewiercał ich, niby ostrzem bagnetu.

Nikt ze stojących przed klatką, nie rozumiał, że była to tęsknota i przebłyski nadziei. Tygrys

pragnął, aby któryś z tych ludzi zwrócił mu wolność.

Pragnął i czekał cierpliwie, tęsknie.

Był zwierzęciem, więc nie mógł pamiętać, od jak dawna wyglądał chwili wolności...

Lew długo leżał, mrużąc oczy i głośno oddychając.

Wreszcie wstał, przeciągnął się i podszedł do kraty.

Żółte, szeroko otwarte płonące oczy skierował przed siebie, ponad głowy tłumu.

Zapatrzył się w jemu tylko znaną dal.

Wzrokiem przebijał ściany zwierzyńca i widział wszystko, co się działo hen! daleko tam, gdzie suchy, gorący, szeleszczący piasek, podnoszony przez potężny wicher — *Samum*, przysypywał nagie, jałowe skały... Jakieś nędzne krzaczki... Wyglądające z ziemi brunatne badyle o ostrych kolcach... Płowe ciało, zaczajone w szczelinie skalnej... Żółta pustynia... Żółte skotłowane niebo... Ryk, poświst, szum wiatru rozszalałego.

Cezar zmarszczył paszczę i wyrzucił z piersi ciężkie, syczące westchnienie.

Raz i jeszcze raz...

Głos jego wzbierał, potężniał, aż przeszedł w urywany, krótki ryk...

Głuchy to był, nieznośnie tęskny, ponury ryk...

Cezara dręczyła tęsknota, a może nawet rozpacz...

Piękne, wspaniałe zwierzę łkało, lecz ludzie, stłoczeni przed żelazną, mocną kratą klatki-więzienia, nie rozumieli tego.

Ryś, posłyszawszy głos lwa, zaczął ostrożnie strzyc czarnemi miotełkami włosów na uszach i parskać niespokojnie...

Przywarł do desek, jakgdyby chciał wrosnąć w nie i ukryć się bez śladu.

Tylko żółto-zielone ślepia jego płonęły dziką namiętnością, jakgdyby przeczuciem bolesnem lub lękiem, że oto napadnie go nużąca tęsknota i będzie źreć, palić i dręczyć nieznośnie.

— Pewno, Cezar czuje głód, bo ryczy... — rzekł dentysta i skinął na służącego, mówiąc... — Proszę przynieść kawał mięsa i dać lwu. Co będzie kosztować — zapłacę!

Dozorca przyniósł dużą kość z wiszącemi na niej ochłapami mięsa i wrzucił do klatki.

Lew nawet nie spojrzał na pożywienie.

Stał wyprężony, niby z żółtego piaskowca wykuty, i ryczał głucho, szybko dysząc.

— E — e, mój drogi, grymasisz! — zawołał aptekarz i laską uderzył w pręty klatki.

Cezar w jednej chwili przycisnął do kraty rozwartą, straszliwą paszczę i żółtemi kłami daremnie usiłował schwycić laskę.

Ryczał teraz tak przeraźliwie, grzmiąco, że widzowie w przestrachu cofać się zaczęli, depcąc sobie po nogach i potrącając się w zamieszaniu.

— Szanowna publiczności! — wołał dyrektor zwierzyńca. — Proszę przejść do cyrku, bo za chwilę zaczynamy przedstawienie, niezwykłe, wstrząsające nerwami przedstawienie, jakiego się nie spotyka nawet po wielkich miastach. Panie i panowie, na przedstawienie, na przedstawienie!

Tłum wkrótce opuścił szopę z klatkami.

Pozostali w niej tylko dozorcy; naprędce się posilali, wyjąwszy z koszyków kawałki chleba i kiełbasy.

Zwierzęta i ptaki, podniecone panującym dokoła nich zgiełkiem i obecnością wielkiej ilości obcych ludzi, powoli się uspokajały.

Umilkły papugi i urwało się trąbienie żórawia.

Tylko stary, poważny Żako, rozpuszywszy pióra na grzbiecie, zakrzyknął donośnie:

— Dobry wieczór, arara... Ararr-arra...

Barwne ptaki, znużone i objedzone, nie odpowiedziały mu.

Żako poczekał jeszcze chwilę, a później wypalił:

— Arrara — dureń! Hehehe! Hallo!

Jelenie i sarny pokładły się na świeżej słomie, rzuconej im przez dozorców.

Jeżozwierz dogryzał resztki buraków i pochrupywał, bo też podjadł znakomicie.

Kuna wyglądała coraz częściej i niecierpliwiej z dziupli, oczekując godziny posiłku.

Wilk wciąż biegał, ocierając się bokami o żelazne pręty klatki z taką zawziętą i upartą miną, jakgdyby postanowił czynić to aż do zgonu.

Małe uistiti, złote, srebrne i jedwabiste małpki przykucnęły cicho, przyciśnięte do siebie. Zrzadka

tylko iskały w puszystych futerkach przyjaciółek i wyłapywały pchły.

Kapucynka, trzymając w rączce orzech leśny, kiwała się, bo sen ją zmożył.

Babuiny i pawiany opowiadały coś sobie powolnem, leniwem rechotaniem.

Makaki i magoty jeszcze się gziły, zbierając rozrzucone po klatce przysmaki, lecz w końcu się znużyły i usiadły grzecznie, trzymając się prętów kraty.

W stojącej obok skrzyni, szczelnie otulonej ciepłym kocem, coś się poruszało ciężko. Z wnętrza dochodziło głuche, basowe mruczenie i ostry zgrzyt zębów.

Drobne ptactwo fruwało w dużej, drucianej klatce, świergotało, piszczało i gwizdało.

Niedźwiedzie, brzęknąwszy łańcuchami, układały się do snu, pomrukując z ulgą i zadowoleniem.

Brytany dawno już przerwały swoje skoki i wesołe szczekanie.

Usnęły, złożywszy czarne łby na wyciągniętych, kosmatych łapach.

Tylko drapieżniki nie mogły się uspokoić.

Cezar wciąż ryczał, stojąc przy kracie i wpatrując się w przestrzeń wpartym przed siebie, zrozpaczonym wzrokiem.

Ryk ten zaniepokoił tygrysa.

Chodził miękkim krokiem po klatce, poruszał skórą na bokach i grzbiecie, jeżył włosy na karku i, marszcząc okrągłą, wściekłą paszczę, tulił uszy i syczał, jak duży kot.

Syczenie to stawało się coraz chrapliwszem, aż przeszło w miauczenie przeciągłe, przejmujące.

Widocznie, tęsknota, gnieżdżąca się w klatce Cezara, zakradła się i do serca Bengala.

Już nie chrapał i nie miauczał, lecz jęczał ponuro, monotonnie, może nawet szlochał.

Oczy miał zmrużone i na czarne wargi występowała mu piana.

Ryś ześlizgnął się ze swej półki i zaczaił się w rogu klatki.

Węszył szeroko rozdętemi chrapami, strzygł uszami...

Długo nie wydawał żadnego dźwięku, lecz, słuchając coraz tęskniejszego ryku Cezara i jęków Bengala, podniósł głowę i zawył cienko, prze-

ciągle, kończąc swoje zawodzenie basowym porykiem...

Pierzchły i ukryły się w kupie słomy króliki, zające i świnki morskie; umknął do stojącej w klatce skrzyni rudy lis, drżeć zaczęły jelenie, łanie, kozły i sarny; przebudziły się śpiące niedźwiedzie i psy; małpki w popłochu wdrapały się na najwyższe pręty klatek; czujnie nadsłuchiwał żóraw, przekręciwszy głowę nabok; nawet drobne ptaszki przerwały swój świergot wesoły i beztroski.

Postrach pustyni i kniei stanął nagle przed zwierzętami i ptakami, przeraził wszystkie.

Nawet stojący na rynku Gustaw uszu nadstawił i podniósł trąbę.

Kamo wzdrygał się cały przy każdym nowym poryku straszliwych drapieżników.

Kucyki i muły chrapały i oglądały się trwożnie, oczekując napadu, — błyskawicznego, nieodpartego.

Duże koty — płowy, pręgowany i centkowany — długo jeszcze wydawały te odgłosy rozpaczy i tęsknoty bezmiernej.

Nie słyszały i nie widziały nic dokoła, bo zawładnęło niemi wielkie, nieugaszone pragnienie wolności.

Milkły powoli, znękane tym wybuchem nagle zrywających się uczuć.

Z poza ścian zwierzyńca dobiegła nagle skoczna przygrywka orkiestry...

Szary, napuszony „Żako“ zadarł głowę i wrzasnął:

— Wujku Pawle, hallo! hallo! Wstawać czas, czas, czas!...

Hiena odezwała się przeciągłym, złowrogim chichotem...

ROZDZIAŁ TRZECI

NA ARENIE I W ZWIERZYŃCU.

Paweł Roma był starym wygą i wiedział, jak należy postępować z publicznością.

Wnet po przygrywce wędrownej orkiestry, wyszedł na arenę i, kłaniając się uniżenie na wszystkie strony, obiecywał coraz to bardziej porywające, nigdy niewidziane przedstawienia, zachęcając widzów do nabywania biletów.

— Szanowna publiczność ujrzy za chwilę nasze oswojone zwierzęta i ptaki, które przeszły najwyższą szkołę tresury znakomitego pogromcy, Pawła Romy — z dumą oznajmiał dyrektor cyrku, — wieczorem zaś damy wstrząsające, niebywałe przedstawienie z tygrysem Bengalem i lwem Cezarem! Zapraszam szanowną publiczność na wieczorne przedstawienie! Kasa zaopatrzy wszystkich w bilety!

Wreszcie widowisko się rozpoczęło.

Na arenie zjawiło się czterech akrobatów, któ-

rzy pokazywali karkołomne sztuki na trapezach i trampolinach.

Po nich przyszła kolej na „Gustawa". Wtłoczył swoje olbrzymie cielsko na szczupłą arenę i odegrał bardzo zabawną scenę.

Wraz z nim popisywał się też clown z ubieloną twarzą i w białym błazeńskim stroju. Publiczność ryczała ze śmiechu, bo Gustaw wyciągał do clowna trąbę, niby na powitanie, a gdy ten pytał publiczności, jak ma uściskać „szanowną dłoń" olbrzyma, słoń odwracał się do niego tyłem i wymachiwał przed nim ogonem, którego clown nie mógł w żaden sposób złapać.

Później siadali obaj przy stole, „Gustaw" nakładał okulary, ćmił fajkę i popijał piwo — swoje i sąsiada, trąbą porywając kufel clowna; chodził na tylnych nogach, mrucząc niezadowolonym głosem; wkońcu stanął na szerokim łbie, kołysząc w powietrzu ogromne, niezgrabne cielsko swoje. Zdolnego i sympatycznego artystę dzieci zasypały cukrem, marchwią i jabłkami, które Gustaw pozbierał bardzo starannie i połknął, filuternie zezując w stronę publiczności.

Po słoniu wprowadzono na arenę tresowane niedźwiedzie, które przewalały się przez głowę, maszerowały pod warkot bębnów na tylnych łapach, borykały się ze sobą, udawały pijanych, tańczyły, jeździły na rowerach, popędzane przez Pawła Romę klaskaniem bicza.

Publiczność grzmiącemi oklaskami spotkała Reginkę, która wjechała na białym kucyku. Dziewczynka trzymała się na siodle doskonale, skakała przez przeszkody, wreszcie stanąwszy na galopującym koniku, tańczyła na jego grzbiecie i w pełnym biegu konia przesadzała przez przeciągnięte pasma zielonej tkaniny.

Małpki w czerwonych porteczkach, granatowych bluzkach i słomkowych kapelusikach jeździły na psach i kozach, skakały przez sznur i obręcze, fikały koziołki i goniły się, skrzecząc i jazgocząc przeraźliwie ku wielkiej uciesze dzieci, które znały już imiona małych wesołków.

Poważny Żako strzelał z małej armatki i pokrzykiwał ochoczo:

— Hallo! Hallo!

Gdy zaś występujący z nim razem barwny arara, udając rannego, kładł się na ziemi i przewalał się z boku na bok, Żako przyglądał mu się pogardliwie i skrzeczał:

— Arra-rra — dureń!

Po dziarskiej jeździe na nieosiodłanym koniu jednego z chłopaków cyrkowych, wystąpił żóraw. Zręcznie chwytał w powietrzu rzucane mu kij i piłkę, woził na grzbiecie Żako, poczem, zbliżywszy się do siedzących wpobliżu panów, długim dziobem wyciągał im z kieszeni chustki i rękawiczki, przy wybuchach śmiechu całej publiczności.

Najbardziej jednak zadziwił wszystkich żóraw Gogo tem, że na komendę trąbił tyle razy, ile mu kazano.

Skończywszy swój występ i wymachując skrzydłami, uciekł za kotarę.

Orkiestra zagrała marsza i publiczność opuściła płócienny namiot, spiesząc się do domu na obiad.

Paweł Roma z rodziną i pomocnikami, korzystając z wolnej chwili, ustawiali w zwierzyńcu nowe klatki.

Najpierw odsłonięto klatkę z orangutanem.

Olbrzymia, okryta długiem, rudem włosiem małpa, łysawa, o ludzkim wyrazie twarzy i żółtych oczach, siedziała nachmurzona i nieprzychylnie patrzyła na nieznajomych ludzi.

Pierwsza zbliżyła się do małpy Reginka i wyciągnęła do niej małą rączkę.

— No, Rudy Panie, musimy się poznać!...

Orangutan zgrzytnął zębami i nie wychodził ze swego kąta, badając dziewczynkę nieufnym wzrokiem.

— Widzę, że masz zły charakter — uśmiechnęła się Reginka i, wziąwszy z koszyka banan, podała go małpie, mówiąc: — A jak się to podoba Rudemu Panu?

Orangutan, ciężko się przewalając z nogi na nogę, podszedł do kraty i wyciągnął długą rękę, obrośniętą zwierzchu i pozbawioną włosów na dłoni.

— Nie, Rudy Panie! — zawołała dziewczynka. — Najpierw musimy się przywitać. Ot tak!

Ujęła rękę orangutana swoją dłonią i potrząsnęła mocno, przyjaźnie.

Małpa pochyliła głowę na bok i przyglądała się dziewczynce w zdumieniu.

Widocznie, myślała nad tem, coby to mogło znaczyć, bo zmarszczki gwałtownie poruszały się na jej czole.

Orang zjadł zaledwie trzy banany, a już zrozumiał, czego od niego żąda mała nauczycielka.

Gdy wyciągała do niego rączkę, brał ją swemi długiemi palcami i, pochylając głowę, dotykał wargami, jakgdyby całował. Za to dostawał natychmiast kawałek banana lub cukru.

Cicho mrucząc, patrzał na Reginkę.

Gdy się uśmiechnął po raz pierwszy, szeroko roztwierając potężne szczęki i ukazując białe kły, dziewczynka śmiało pogłaskała go po twarzy, podrapała za uchem i rzekła:

— Będziemy żyli w przyjaźni, Rudy Panie!

Orangutan mruknął coś i znowu wykrzywił się w uśmiechu.

Tymczasem słudzy ustawiali na wysokim słupie dużą klatkę.

Siedział w niej ciemno-brunatny, prawie czarny orzeł o żółtym, ostrym dziobie.

Ponury ptak zamarł w bezruchu i surowo, groźnie spoglądał na ludzi niemigającemi oczyma, mocno trzymając się potężnemi szponami zatkniętej w klatce gałęzi.

— Orzeł nie tknął dziś mięsa... — zauważył jeden z chłopaków.

— Pewno nie głodny... — odpowiedział Roma, zajęty ustawianiem szerokiego okrągłego basenu z grubych desek. Właśnie zalewano gorącą smołą wszystkie szczeliny, a jeden z pomocników stał już z kiszką gumową, przygotowując się do wpuszczenia wody wewnątrz.

Gdy napełniono głębokie naczynie, przyciągnięto długą skrzynię. Czarne, lśniące zwierzę o dwuch szerokich łapach-pletwach i dwuch węższych, lecz dłuższych na tylnym końcu ciała wślizgnęło się do wody i ukazało okrągłą, wesołą głowę o pięknych, piwnych oczach i długą szyję — okrytą krótkiem, błyszczącem włosiem.

Był to tak zwany „kot morski", należący do rodziny fok.

Z radosnem szczekaniem zwierzę zaczęło pływać i nurkować, wyrażając swoje zadowolenie.

— Stella stęskniła się do wody! — zawołała Marja Roma, ręką wskazując na fokę.

Dyrektor tymczasem otaczał basen drucianą siatką, pozostawiając jednak dostatecznie miejsca, aby Stella mogła wychodzić z basenu i leżeć na piasku.

Na ścianie zawieszono klatkę z białemi szczurami, a w ciemnym kącie urządzono zagrodę, do której wpuszczono odyńca i maciorę, czyli „lochę“ z trzema małemi dzikami, o jasnej jeszcze, pasiastej szczecinie.

W innej zagrodzie, osłoniętej siatką, gęgały dzikie gęsi różnych gatunków.

Były to gęsi *dzikie*, nazwane tak jedynie dlatego, że odróżniały się od domowych upierzeniem, zresztą oddawna już przyzwyczajone do obcowania z ludźmi i całkowicie pozbawione płochliwości.

Zwierzęta i ptaki, siedzące w klatkach, zachowywały się spokojnie, a raczej obojętnie, prócz tylko tych, które miały brać udział w przedstawieniu.

Zupełnie na pozór oswojone i ujarzmione, zdradzały teraz objawy zdenerwowania i podrażnienia.

Niedźwiedzie, uwiązane do słupów, dreptały niespokojnie w kółko, dzwoniąc łańcuchami i złemi oczkami zerkając z podełba na ludzi. Mruczały gniewnie, a na czarnych wargach ich osiadła biała piana.

Małpki, po zdjęciu z nich ubranek, miotały się do klatce, krzycząc przeraźliwie i szczypiąc nawijające się im pod rękę towarzyszki. Nie chciały ruszać jadła, od czasu do czasu przypadały tylko do wody i piły chciwie, wzdychając ciężko.

Stary Żako i wspaniała barwna arara skrzeczały wniebogłosy i niezgrabnie wymachiwały skrzydłami. Żako zapomniał nawet urągać ararze i darł się na całe gardło, jakgdyby go coś bolało.

Żóraw Gogo stał na jednej nodze, nachmurzony, pogrążony w ciężkiej, przykrej zadumie. Przyglądał się leżącym przed nim rybkom, rzuconym mu na śniadanie, lecz nie ruszał posiłku. Stał, jak nieżywy, i wpatrywał się w ziemię bezmyślnie.

Nawet „Gustaw“, zwykle chętnie i ochoczo pracujący, a zawsze ze wszystkiego zadowolony, teraz przestępywał z nogi na nogę, dzwonił łańcuchem i porykiwał rozpaczliwie. Gdy przebiegający obok

chłopak cyrkowy rzucił mu wiązankę grochu, zaczął tratować ją, groźnie potrząsając trąbą.

Nikt z właścicieli zwierzyńca, lub sług nie zwracał uwagi na humory czworonożnych i skrzydlatych „artystów“. Już bowiem przywykli do tego, że zwykle po przedstawieniu zdenerwowanie ogarniało zwierzęta i ptaki.

Skąd wypływało to podrażnienie — o tem ludzie nie myśleli wcale.

Tymczasem było nad czem się zastanowić, bo powtarzało się to po każdym występie na ciasnej arenie małego, wędrownego cyrku Pawła Romy, a w pewnych wypadkach od nastroju zwierząt mogło zależeć życie ludzi...

O niebezpieczeństwie i takich „drobnych“ szczegółach, jak nastroje niedźwiedzi, lwa, lub żórawia pogromcy zwierząt, niestety, prawie że nie myślą. Są to, bowiem, ludzie o odwadze niepospolitej, a ogarnięci żądzą zarobku.

Paweł Roma, żona jego, słudzy, a nawet mała Reginka pamiętali zawsze, że dzikie zwierzęta żyją w niewoli niedługo, a w każdym razie, starzejąc się, tracą swoją potulność, zapominają o posłuchu

i łagodności, którą wbito w ich mózgi straszliwemi ciosami ciężkich prętów stalowych i batów rzemiennych.

Pogromcy ich muszą więc się spieszyć, aby przed nastąpieniem tego okresu wykorzystać z pożytkiem dla siebie tresurę, posłuszeństwo i zdolności swoich dzikich „artystów".

Być może, że i zwierzęta myślą o czemś podobnem...

Być może przypominają sobie czas nauki, gdy, nękane głodem, bite niemiłosiernie, znosiły bolesne i kaleczące kagańce i ściskające gardło smycze z ostremi kolcami?

Żałują może i przeklinają siebie za ustępliwość, pokorę?

A może też dlatego, że, wychodząc na arenę i widząc dokoła siebie tłum ludzi, odczuwają strach, radeby uciec, ukryć się przed wzrokiem setek oczu, tymczasem zmuszone są pozostawać i robić to, co rozkazuje im Paweł Roma z długim, tak dotkliwie tnącym skórę batem w ręku?

Któż wie, co myślą i czują tresowane zwierzęta, występujące po cyrkach, o czem marzą

niedźwiedzie — białe i bure, słonie, lwy i wilki zamknięte w klatkach zwierzyńców?

Ludzie mają litość dla zbrodniarzy, wyglądających z poza krat więziennych, znajdują dla nich usprawiedliwienie i współczucie w ich ciężkiem nieszczęściu, lecz nikt nie zamyśli się nad losem i przeżyciami niewinnych zwierząt, wtrąconych do wąskich, brudnych klatek dla uciechy i zabawy tłumu.

Nikt...

Czyż nie jest to straszne, jeżeli zwierzęta rozumieją swoją niewolę, tęsknią za pięknem i radością pól, stepów i lasów, i wiedzą, że już nigdy — nigdy, aż do zgonu za żelaznemi prętami klatek, w ogniu skierowanych na nie oczu ludzkich, nie odzyskają wolności, utraconej bezwinnie?!

Bezwinnie?

Można twierdzić, iż lew, orzeł i niedźwiedź są niebezpiecznemi drapieżnikami.

Wtedy zapytajmy: a słoń, jeleń, sarna, żóraw, gruby żako, niebiesko-żółta arara, mała, delikatna złocista małpka — komuż one wyrządziły krzywdę lub szkodę?

Zresztą, czyż zwierzęta mogą być karane za swoją drapieżność?

Są takie, jakiemi uczyniła je natura.

Tygrys i ryś nie mogą nie napadać na łosie bawoły i sarny, bo inaczej zginęłyby z głodu.

Piękny, o wspaniałym wieńcu rogów jeleń jest również drapieżcą. Zjada on młode pędy krzaków i trawę bujną. Przecież rośliny też żyją, rosną, mnożą się i czują, więc jakaż zachodzi różnica pomiędzy lwem i kuną, a jeleniem i zającem?

Jeżeli za oznakę drapieżności uważać zabicie innych istot, potrzebnych dla podtrzymania własnego życia, to najbardziej zbrodnicze instynkty posiada człowiek. Zabija rocznie miljony dużych i małych zwierząt, setki miljonów ptaków, miljony ton ryb i roślin. Ba! Nawet zapalony jarosz, nie używający pokarmu mięsnego, jest drapieżnikiem, gdyż zabija rośliny, aby zabezpieczyć swoją kuchnię.

Cywilizowany człowiek używa obuwia ze skóry zabitych zwierząt, ubrania z wełny owiec i baranów, lub włókna roślin, czyta książki i pisze na papierze, dla sporządzania których fabryki zmu-

szone są wyrąbywać olbrzymie lasy, gdzie powoli zamiera życie zwierząt i ptactwa.

Każden krok nasz niesie śmierć innym istotom. Bezwiednie, a więc bez winy naszej, gnieciemy nielitościwie mrówki, robaki, liszki, drobne, okiem niewidzialne istotki i setki, tysiące roślin!...

Czemuż więc jaguar i pantera mają być uważane za bardziej drapieżne od filozofa-moralisty, który, pogrążony w uczonych rozważaniach, kroczy przez łąkę i pozostawia za sobą trupy chrabąszczy, drobnej, nieostrożnej myszki polnej i małych, słabych pisklątek szczyglicy w ukrytem w trawie gniazdku, depcąc je bezwiednie.

Gdy drapieżne zwierzęta wyrządzają szkodę ludziom, — ci wypowiadają im wojnę. Pastuchy odganiają i zabijają wilki; gajowy strzela do lisa i jastrzębia; murzyn w obronie swoich plantacyj kawy, kakao i bananów tępi zielone małpy...

Nic też innego nie robi, przecież, rogaty kozioł Koby — antylopy afrykańskiej, gdy płowa lwica napada na stado, i to samo czyni jaguar południowo-amerykański, gdy widzi przed sobą ogromnego boa, wysuwającego płaską głowę z gęstych zarośli.

Zwierzę, nawet najstraszliwsze i najsilniejsze, nie jest ani złem, ani dobrem. Postępuje tak, jak tego wymaga natura i warunki życia.

Jedynie człowiek może być dobrym lub złym, bo posiada rozum, wolę i sumienie, mogące wstrzymać rękę jego, podniesioną do ciosu...

Smutne to widowisko — zwierzęta w klatkach, pokazywane w zwierzyńcach... Biedne, zrozpaczone, chore istoty!...

Przyjdzie jednak czas, gdy zwierzyńce będą surowo zakazane przez prawo.

Ogrody zoologiczne mają poniekąd rację bytu. Powinny jednak zajmować znaczne obszary, aby zwierzęta mogły żyć prawie na wolności, w warunkach podobnych do tych, które istnieją w ojczyźnie ich.

Ogrody zoologiczne będą służyły wyłącznie dla nauki, nie zaś dla zabawy i rozrywki ludzi.

Tymczasem mieszkańcy miast, właściciele zwierzyńców i pogromcy dzikich zwierząt nie myślą o tem.

Dlatego też widzimy tak często smutne, ponure zwierzęta i ptaki, lub podrażnione, wściekłe, gdy

usłyszą odgłosy muzyki i ujrzą tłum gapiów, stojących przed klatkami, wybuchających śmiechem, hałasujących i niepokojących zwierzęta stukiem lasek o żelazne pręty, gwizdkami i okrzykami.

O, gdyby ludzie mogli zrozumieć myśli zwierząt, inaczejby niezawodnie postępowali z koniem, krową, wołem, owcą, psem, kotem, a nawet z małym śpiewakiem — kanarkiem żółtym, bo i w jego głosie nie zawsze wesołe brzmią nuty...

W zwierzyńcu Pawła Romy zaczęto wrzucać pokarm do klatek.

Po obiedzie miała przybyć publiczność, wieczorem — dawano przedstawienie. Zwierzęta i ptaki musiały więc być syte, lecz nie nazbyt najedzone. Nie chciałyby wtedy słuchać pogromców.

Po przedstawieniu dopiero spodziewały się sutego posiłku; wiedziały już o tem, więc pokornie spełniały rozkazy ludzi, zmuszających je do wykonywania sztuk na arenie małego cyrku pod zielonym płóciennym namiotem.

Zwierzęta jadły, oglądając się trwożnie.

Przeczuwały zgiełkliwy dzień i oczekujący ich, szczególnie drażniący występ wieczorny wśród

oklasków i okrzyków widzów, świstu i smagania bata, krótkich, groźnych, popartych siłą rozkazów ludzi, oślepiających świateł lamp, szczekania czarnych brytanów i pomruków Misia.

Przeczuwały to i czekały wieczora z rozpaczą. . .

ROZDZIAŁ CZWARTY

WIECZORNE PRZEDSTAWIENIE.

Z zapadnięciem zmroku Paweł Roma uderzył w duży dzwon, zawieszony przy drzwiach szopy, i wyprosił z niej widzów, oglądających zwierzyniec. Usługujący chłopcy podchodzili do klatek i dawali zwierzętom wodę do picia. Rozlegał się ryk, szczekanie, złe warczenie, kwilenie i pisk; groźne, wściekłe błyski migotały w szeroko rozwartych oczach więźniów. Tylko te zwierzęta, które miały wystąpić na arenie, zachowywały teraz zimny, obojętny spokój.

— Dyrektorze! — zawołał jeden z chłopaków. — Cezar i orzeł nic nie chcą jeść. Od rana pozostało mięso nietknięte...

— Zobaczymy to później, po przedstawieniu — odezwał się Paweł Roma. — Nic im nie jest!... Nie podoba im się nowe miejsce i — tyle!

W godzinę później zielony namiot rozświetlił się lampami acetylenowemi.

Zaczął schodzić się tłum i zajmować miejsca na ławkach.

Znowu przesuwały się przed widzami tresowane niedźwiedzie, wesoły „Gustaw“, akrobaci, clowni, kucyk z tańczącą na jego grzbiecie Reginką, dziarski chłopak, wykonywujący śmiałą woltyżerkę na nieosiodłanym koniu, trąbiący „Gogo“ — zabawny, poważny żóraw; dokazywały małpki, szczekały zawzięcie i skakały przez płotki czarne brytany, śmieszył publiczność czarny, okrągły, jak kula, Miś — pajac urodzony.

Paweł Roma pokazał jednak nowy numer.

Reginka wyprowadziła na arenę Stellę, o czarnem lśniącem ciele i małej, mądrej główce.

Foka bardzo zręcznie odbijała pyszczkiem rzucaną jej piłkę, żonglowała nią, trzymając na końcu nosa, podrzucając i łapiąc zpowrotem; przewalała się z boku na bok; klaskała się po bokach pletwami, a, gdy Roma dał strzał z rewolweru, padła, jak nieżywa, udając zabitą. Wreszcie z wesołem szczekaniem, w dziwacznych, niezgrabnych skokach opuściła arenę, zaglądając w oczy swemu panu.



Reginka wyprowadziła na arenę Stellę... (str. 64)

— Przerwa na 15 minut! — oznajmił dyrektor i skinął ręką. Zagrała orkiestra, a słudzy zaczęli przeciągać pomiędzy wbitemi w ziemię słupami mocną siatkę z grubych sznurów.

Zbliżała się najbardziej porywająca chwila — występ pogromców dzikich zwierząt.

Publiczność, wychodząca na papierosa, widziała, jak słoń podtoczył do namiotu klatki z dzikiemi zwierzętami, które zachowywały ponury spokój.

Wreszcie rozległ się dzwonek bardzo upragniony.

Przedstawienie rozpoczynało się na nowo.

Do klatki weszła złotowłosa Marja Roma. Skrzyła się cała od złotych łusek, któremi było obszyte obcisłe ubranie pięknej kobiety. W jednej ręce trzymała gruby, krótki bicz, w drugiej — błyszczący rewolwer.

Ukłoniwszy się publiczności, klasnęła biczem i krzyknęła:

— Hallo!

Rozległy się głosy ludzi, głuchy ryk i przez wąskie przejście, zaciągnięte ze wszystkich stron siatką, na arenę wypadł Cezar.

Grzywa mu się jeżyła, oczy błyskały, kurczyła się paszcza, ukazując ostre kły; ryczał głucho i bił się ogonem po chudych bokach.

— Hallo, hallo, Cezar! — przemawiała do niego Marja Roma.

Lew wbił w nią żółte, okrągłe oczy i, oślepiony tysiącami ogników, zapalających się na błyszczącym stroju pogromczyni, zmrużył ślepia i opuścił ogon.

— Cezar... Cezar... allez! allez! — wołała kobieta, zachodząc lwu od tyłu.

Dookoła klatki biegał Paweł Roma. Miał w ręku ciężki drąg żelazny i długi kijek stalowy, zakończony ostremi widełkami. U pasa wisiała mu pochwa dużego rewolweru.

Dyrektor starał się pozostawać stale przed lwem, żeby ten mógł go widzieć.

Każde słowo żony Paweł Roma powtarzał krótko i groźnie:

— Cezar... Cezar... Allez! Allez!

Lew przeskoczył przez trzy stojące w klatce płotki, poczem przetoczył z jednego końca areny na drugi ciężką, kamienną kulę.

— Cezar, hop! hop! — rozkazała kobieta, klaszcząc biczem.

— Cezar, hop! hop! — powtórzył Paweł i wsunął przez oko siatki drąg żelazny. — Hop!

Lew ryknął, miękkim rzutem płowego ciała skoczył naprzód i usiadł na wysokim, czerwonym taburecie.

Po raz pierwszy obejrzał się dokoła. Spostrzegł setkę bladych twarzy i wylękłych oczu ludzi, nieznanych mu a znienawidzonych oddawna.

Zmarszczył paszczę, stulił uszy i ryknął grzmiąco, przeciągle, jakgdyby urągał tłumowi lub rzucał mu wezwanie na bój śmiertelny.

Rozległy się okrzyki przerażenia, a nawet płacz dzieci.

— Proszę zachować spokój i ciszę, bo hałas drażni Cezara! — zawołał rozkazującym głosem Paweł Roma.

Lecz, widocznie, lew był już podrażniony, bo zeskoczył na ziemię i ryczał, rozrzucając łapami piasek.

Marja Roma gwizdnęła. Do klatki wpadły czarne, kosmate brytany i zaczęły biegać do-

koła areny, szczekając wesoło i wymachując ogonami.

— Cezar, hop! hop! — krzyknęła pogromczyni i klasnęła biczem.

— Cezar, hop! hop! — powtórzył Paweł Roma.

Lew na widok psów umilknął i spokorniał.

Przestał drapać piasek i wskoczył na taburet.

Marja Roma postawiła naprzeciwko drugi stołek i, stanąwszy przy nim, podniosła bicz.

— Hop — hop! — zawołała.

Cezar przysiadł i skoczył.

Natychmiast jednak rozwarł paszczę i wzniósł łapę do ciosu.

Marja Roma schwyciła podany jej przez męża stalowy pręt i uderzyła w potężną łapę, a, gdy lew pochylił ku niej paszczę, wetknęła w nią widełki i klasnęła biczem, krzyknąwszy.

— Cezar, wstań!

Ogromne, ryczące wściekle zwierzę podniosło się na tylnych łapach, głową grzywiastą sięgając siatki, okrywającej arenę. Lew, po nowem klaśnięciu bicza i okrzyku: „allez! allez!“ — jednym

susem zeskoczył na ziemię i, już nie oglądając się, biegł zakratowanem przejściem za kotarę.

Odprowadzały go ujadanie brytanów, okrzyki Pawła Romy i ryk tłumu:

— Brawo! Marja Roma, brawo! brawo!

Połyskując złotą łuską, pogromczyni kłaniała się i cofała ku kotarze.

Numer programu cyrkowego z Cezarem był skończony.

Słudzy szybko zwinęli siatkę i wkrótce na arenie znowu koziołkowali clowni, Paweł Roma żonglował talerzami, barwnemi kulkami, zapaloną lampą, nożami i innemi przedmiotami; jeździł na kucyku i skakał przez obręcze mały Miś; Reginka przy dźwiękach mandolin tańczyła pięknie...

Koło godziny jedenastej publiczność, zadowolona i ubawiona, opuszczała zwierzyniec i cyrk Pawła Romy, chwaląc niezwykłe przedstawienie.

Wkrótce koło szopy pozostał tylko Paweł Roma z chłopakami, którzy byli artystami cyrkowymi i posługaczami jednocześnie.

— Dajcie dziś Cezarowi świeżego mięsa! — mówił dyrektor. — Spostrzegłem, że schudł bardzo.

— Już od dwuch dni nic nie je — odpowiedział mu jeden z chłopaków, — a i orzeł też...

— Wpuść orłowi do klatki dwa białe szczury — rzucił mu rozkaz Paweł Roma, gasząc lampy.

Słudzy zaczęli znosić pokarm dla zwierząt i wrzucać go do klatek.

Znowu rozległ się ryk, szczekanie, wycie, klekot i trąbienie; skrzeczały małpki i papugi; mruczał Rudy Pan, żując jabłka i marchew; obudzone hałasem drobne ptaszki piszczały i ćwierkały żałośnie.

Wreszcie zgaszono ostatnią lampę.

Jeden ze sług zamknął szopę i usiadł przy drzwiach, mrucząc za odchodzącymi kolegami:

— A jedzcie tam szybciej i niech-no który czemprędzej mnie zastąpi, bo głodny jestem i w kiszkach mi piszczy straszliwie!

— Nie umrzesz, grubasie! — ze śmiechem odpowiedział mu już zdaleka czyjś wesoły, drwiący głos.

Na rynku zapanowała cisza.

Grubas siedział nieruchomo i ćmił fajeczkę.

W zwierzyńcu zamknięte w klatkach i uwiązane na łańcuchach zwierzęta i ptaki w milczeniu pożerały rzucone im jadło. Nasycone kładły się i drzemały.

Dwuch jeńców tylko nie tknęło rzuconego im przez ludzi mięsa.

Lew Cezar i czarny orzeł nie chciały jeść.

Lew, powróciwszy z areny, nie kładł się. Chodził po klatce, bez szmeru stąpając miękkiemi łapami, i oddychał chrapliwie. Chwilami mrużył żółte, widzące w mroku oczy i marszczył paszczę.

Chodził długo, z każdą chwilą przyspieszając kroku.

Nagle stanął i znieruchomiał.

Z ciemności błysnęło ku niemu dwoje ognistych ślepi.

Spojrzał bacznie i ujrzał orła.

Nieruchomy, niby z czarnego wykuty kamienia, ptak wparł w lwa drapieżne, groźne źrenice i patrzał.

Cezar obejrzał się i ogarnął wzrokiem cały zwierzyniec.

Wszystko dokoła już spało.

Poczuł głęboką pogardę dla tych ujarzmionych niewolników, obojętnych na cierpienia innych.

Wściekłość ogarnęła go, gdy przypomniał sobie, że skakał przez płotki i przy klaskaniu bicza przenosił się w powietrzu z tabureta na taburet.

Wściekłość przeszła w gryzący wstyd, bo w jarzących się oczach orła ujrzał pogardę dla siebie i wyrzut niemy.

Zjeżył Cezar ciemną grzywę zwichrzoną, jął się smagać ogonem po bokach i dyszeć raz po raz, coraz szybciej i krócej, aż z rozwartej paszczy wyrwał mu się ryk.

Narazie świszczący, bolesny, wzmagał się z każdą chwilą, przechodząc w grzmiące jęki, pełne tęsknoty i skargi.

Lew stał przed kratą i wyrzucał wraz z parą oddechu swój poryk potężny, płynący potokiem burzliwym.

Pisnęły ptaszki barwne i płochliwe, poruszyły się niespokojnie obudzone, drżące z zimna małpki; rozwarł powieki Bengal i uniósł drapieżną głowę, nadsłuchując; zaskrzeczał Żako; wskoczył i biegać

jął po klatce wilk, strzygąc uszami; śmignęła do dziupli kuna; ryś drgnął i, przywarłszy ciałem do desek klatki, zaczaił się...

Siedzący przy drzwiach stróż zaklął i splunął.

Cezar nic już nie widział i nie słyszał.

Ryczał, jakgdyby rozpierające jego mocarną pierś ból, smutek i rozpacz niesforną falą wyrwały się na wolność i biegły, jękiem rozbrzmiałe, aby wszystko, co żyło, pojęło wielkie cierpienie i skargę ognistą.

Całe miasteczko zostało nagle przebudzone.

Żałośnie ryczały krowy w oborach, konie rwały się z uwięzi; skomląc, umykały i kryły się psy podwórzowe; ludzie w strachu podbiegali do okien i spoglądali na pusty plac rynku, złorzecząc i wygrażając Romie za zakłócenie spokoju publicznego.

Długo jeszcze ryczał, jęczał, żalił się Cezar, wpatrzony w dwa płonące ogniki w dumnych, nieprzejednanych oczach orła.

Nagle umilkł, urwawszy gwałtownie rozpoczęte zawodzenie i poryk grzmiący.

Usłyszał odpowiedź na skargi swoje i łkania, nikomu nieznane.

Orzeł pochylił głowę, wyciągnął szyję i wydał krótki okrzyk, jeden tylko.

Jak zgrzyt stali o szkło, jak smagnięcie bata, przebrzmiał ten skwir drapieżny, przebił chrapliwy ryk lwa i pomknął w ciemną noc bez echa.

Cezar, wyprężony, czujny, skamieniał zasłuchany.

Orzeł tkwił na swej gałęzi, wyprostowany, jak zwykle, bez ruchu, i tylko goręcej płonęły źrenice zuchwałych, nie znających strachu oczu.

Z przeciwległego końca zwierzyńca odezwała się hiena.

Chichotała długo, ponuro, zjadliwie...

Żako poruszył się gniewnie, brzęknął łańcuszkiem mosiężnym i krzyknął przeraźliwie:

— Dureń... Dureń... Dureń!...

Za ścianą szopy rozległy się głosy ludzi.

— No, idź już, grubasie! — mówił ktoś podchmielonym głosem. — Czeka na ciebie piwo i kiełbasa z kapustą...

— Nareszcie! Myślałem, że zapomnieliście o mnie... oj, ależ głodny jestem! — odpowiedział stróż.

— Cezar znowu się wściekł! Co mu jest? — padło pytanie.

— Niechby mu czarci kark skręciły! — odpowiedział grubas. — Ryczy i ryczy, aż człowiekowi na sercu źle się robi!

Hiena znów zachichotała cienko i jękliwie.

— Ta bestja jeszcze podjudza... — doszedł głos jednego z chłopaków.

Inny zaklął szkaradnie.

— Dureń! Dureń! Dureń! — wrzasnął Żako i umilknął, wcisnąwszy głowę pod skrzydło.

Echo natychmiast odpowiedziało z dalekiego kąta szopy:

— Dureń!...

ROZDZIAŁ PIĄTY

NOC NA RYNKU.

Cisza zaległa rynek.

Księżyc rzucał blade światło na okryte kurzem kamienie bruku, na ciemne domy, o oknach mętnych, niewidzących, niby oczy ślepców; srebrzył i pobielał długą szopę zwierzyńca i zielony namiot cyrku; tu i ówdzie niebieskie, zimne promienie zapalały nagłe błyski: przy wylocie wąskiej uliczki połyskiwała szyba drzwi oszklonych, prowadzących do szkoły; trochę dalej — skrzył się, niby tafla lodowa, dach ratusza, okryty nową blachą; wysoko płonął pozłacany krzyż nad wieżą kościelną...

Północ się zbliżała.

Nie słychać było kroków przechodniów.

Stróż spał przy drzwiach zwierzyńca i chrapał głośno.

Gdzieś zdaleka biegły odgłosy śpiewu i śmiechu.

Widocznie, spóźnieni goście opuszczali karczmę...

Wreszcie wszystko ucichło.

Zapadła głucha, nieruchoma cisza.

Przerwało ją cienkie, do dzwonka podobne szczekanie pieska.

Wyszedł z podwórka i usiadł przed bramą.

Zapatrzony w księżyc, podniósł głowę i począł poszczekiwać i zawodzić tęsknym głosem.

Z sąsiedniego domu odpowiedziało mu basowe szczekanie innego, z pewnością, dużego psa.

Złe brytany łańcuchowe i małe, kudłate pieski podwórzowe zaczęły się również odzywać i tworzyć chór.

Gdy jedne milkły, drugie rozpoczynały tę dziwną, niezrozumiałą „pieśń księżycową“ — tęskną i drażniącą.

Zagłuszył ją turkot przebiegającego wpobliżu pociągu i niecierpliwy, zdyszany ryk lokomotywy.

Psy ujadały złośliwie, jakgdyby urągając komuś za przerwaną pieśń.

Pociąg turkotał kołami już gdzieś daleko, lecz psy nie mogły się długo uspokoić.

Nagle te, które siedziały, lub leżały na rynku, zerwały się i z wściekłem szczekaniem i skowytem pomknęły w stronę pustych straganów.

Zwęszyły kotkę.

Istotnie, — biała kotka, ostrożnie, nieufnie się oglądając, przecinała mały placyk. Widocznie wyruszyła na łowy, wiedząc, że koło straganów kręcą się żarłoczne szczury, szukające tu pożywienia.

Spłoszyły ją psy, więc śmignęła chybkim cieniem, jednym susem skoczyła na ladę i po ścianie straganu wdrapała się na jego dach.

Siedziała zaczajona, tuląc uszy i mrużąc oczy.

Spoglądała z nienawiścią i pogardą na uwijające się dokoła i ujadające psy — małe i duże, gładkie i kudłate. Chwilami syczała złowrogo, jeżyła szerść na grzbiecie i drżała, przygotowana do walki lub szybkiej ucieczki.

Psy, naszczekawszy się dosyta, odeszły.

Ten i ów z nich po chwili rozpoczynał na nowo pieśń przerwaną...

Nagle jeden z dużych kundlów, leżący przed domem, podniósł się i jął węszyć. Po chwili przy-

cisnął się do ziemi i, wpatrzony przed siebie, zaczął się skradać bez szmeru.

Wyraźnie widział przed sobą inną kotkę.

Znał ją oddawna. Była to bezdomna, bezpańska kotka, stara, ruda w czarne łaty.

Nieraz już ścigał ją, lecz zawsze mu się wymykała.

Teraz szła dziwnie śmiało. Nie kryła się wcale i nie pędziła, jak szalona, po kamieniach bruku.

Kundel podczołgał się bliżej i, obliczywszy, że zdąży przeciąć drogę rudej kotce, runął wprost na nią.

Kotka zatrzymała się natychmiast, lecz napastnik ze zdumieniem spostrzegł, że nie wygięła groźnie grzbietu i nawet nie stuliła uszu.

Stała spokojnie i czekała.

Gdy rozpędzony kundel był o kilka kroków od niej, nagle przykucnęła.

Pies, któremu zniknął z przed oczu cel, zaczął hamować bieg i stanął wreszcie.

Pięć kroków dzieliło go od kotki, mógłby się rzucić na nią natychmiast, lecz był to stary wyga, wiedział, że kotkę można schwytać tylko z wiel-

kiego rozpędu. W przeciwnym razie musiała się rozgorzeć walka. Przypomniał sobie w okamgnieniu straszne blizny, zadane mu niegdyś pazurami i ostremi, szarpiącemi kłami kotek białych, szarych, czarnych, na które nieopatrznie napadał w młodości.

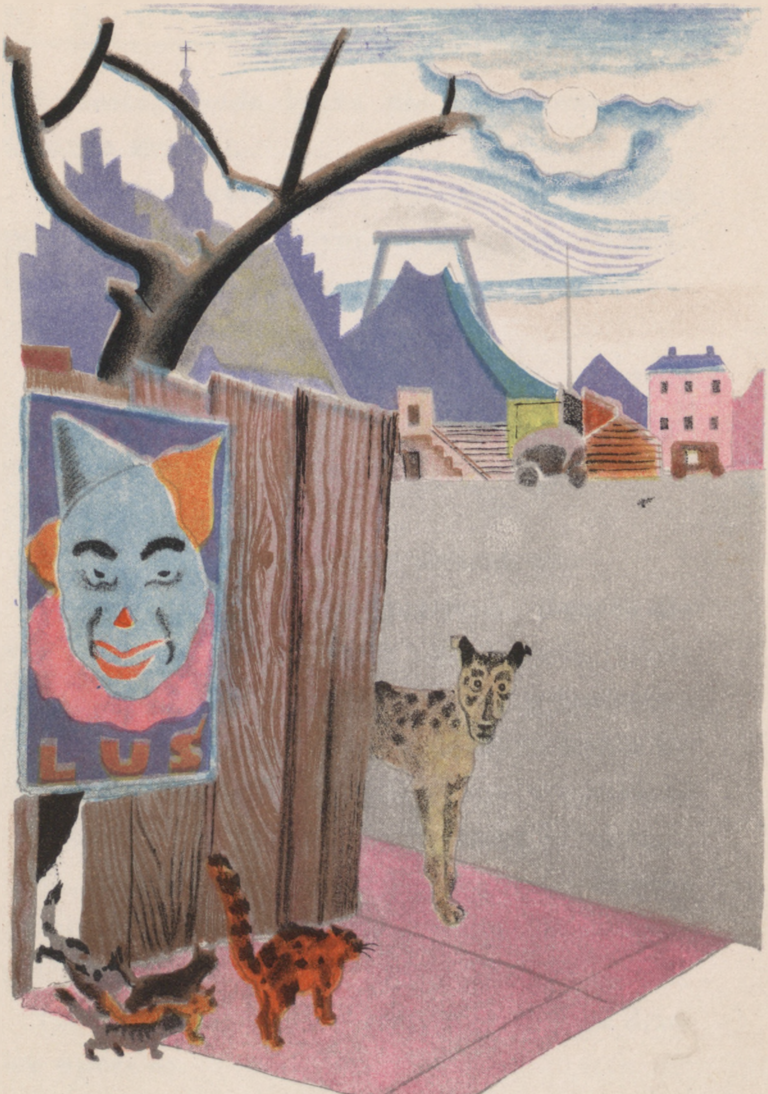
Nie wiedział co ma robić, lecz, nie chcąc, widocznie, zdradzić swego wahania i zdumienia, usiadł, nie spuszczając oczu z rudej, łaciastej kotki.

Ta zaś odrazu wszystko zrozumiała: i to, że napastnik już próbował bójki z jej towarzyszkami i teraz nie śmie zerwać się do ataku, i to, że udaje odważnego.

Podniosła się więc i z wyprostowanym, wyprężonym ogonem, zerkając co chwila łaszącym się, lecz bacznym wzrokiem na psa, powolnym krokiem rozpoczęła odwrót.

Kundel, trzymając się o kilka kroków ztyłu, szedł za nią, głucho warcząc.

Był wprawdzie gotów w każdej chwili rozpocząć pościg i napad, ogarniało go jednak coraz większe zdumienie.



Z pomiędzy przegniłych desek ogrodzenia wybiegły z piskiem kocięta...
(str. 82)

Z pomiędzy przegniłych desek ogrodzenia wybiegły z piskiem kocięta.

Z podniesionemi ogonami łasiły się do matki, nie zwracając żadnej uwagi na stojącego wpobliżu, skamieniałego ze zdumienia psa, popychały się i ocierały o łaciastą, rudą kotkę.

Kocięta wybiegły naprzód, co chwila przystając i oglądając się za matką. Stara kotka zdążała za niemi spokojnie, jakgdyby czarny kundel odszedł już dawno.

Kundel jednak szedł tuż za nią, lecz coraz wolniej, coraz bardziej niepewnym, wahającym się krokiem i już w grobowem milczeniu.

Niby powstające gdzieś bardzo blisko powiewy, pochwytywane ostrym węchem, niby ledwie dostrzegalne błyski, rodzące się w mroku, pies wyczuwał nastroje kotki. Były w nich gorące błagania, upomnienie rozsądne, utajone pogróżki.

— Muszę dojść do tych szczurów koło straganów, rozumiesz? — szeptały bezdźwięcznie kocie myśli, zapadając do mózgu kłótliwego kundla. — Rozumiesz?! Dzieci moje głodne są, muszę je nakarmić! Więc cokolwiek się stanie, przepro-

wadzę je przez rynek. Bądźże dobrym, uczciwym, rozsądnym psem, inaczej...

Pies znowu wyczuwał całą swoją istotą, że łaciasta, chuda kotka pręży drapieżnie długie, zwinne ciało, słyszał, jak jej ostre, zakrzywione pazury drapią kamienie bruku.

To też postępował za kotkami coraz wolniej i opieszalej, wreszcie przystanął i, udając, że spostrzegł coś bardziej zajmującego, podreptał w stronę domu burmistrza.

Tu przystanął i, rozdymając chrapy, szczeknął w stronę rynku ze złością, czy wstydem w głosie.

Starał się nie patrzeć na stragany, jakgdyby zapomniał o przykrem spotkaniu.

Ruda kotka, schwytawszy opasłego szczura, karmiła swoje dzieci, mrucząc łagodnie. Już się niczego nie obawiała. Wiedziała, że czarne psisko nikomu o skandalu na rynku nie opowie. Będzie więc miała spokój przez całą noc.

Nakarmiwszy kociaki, wdrapała się z niemi na bielejący w świetle księżyca namiot cyrku, drzemała, z pod oka spoglądając na pełzający po

płótnie drobiazg. Kocięta goniły się, gramoliły aż na sam szczyt namiotu.

Kotka była bardzo wzburzona i wyczerpana niemą walką z napastnikiem.

Wytężała tak długo siłę woli, aby udawać spokój, chociaż całą jej istotą wstrząsał lęk przerażający, gdy czuła tuż za sobą ciężkie stąpanie dużego, złego psa. Zwalczyła go potęgą wielkiej miłości i ofiarności dla tych czarnych, białych i pstrokatych kotków, już najedzonych i wesołych niezmiernie.

Naraz spostrzegła, że, zwabione bielą płótna, dokoła namiotu krążą z przenikliwem cykaniem nietoperze.

Zamruczała pocichu i zwołała kocięta.

Zaczęła uczyć je, jak należy polować na latające zwierzęta.

Skakała błyskawicznemi rzutami i zbijała na ziemię śmigające nietoperze.

Kociaki naśladowały jej ruchy.

Jeden z nich gruby, biały kotek potknął się niezgrabnie i z hałasem spadł na złożone przed namiotem deski. Przerażony, z piskiem

wdrapał się na dach zwierzyńca i miauczał przeciągle.

Z wnętrza ciemnej szopy doszedł krótki okrzyk nagle obudzonej małpki.

— U — u — u!

Rudy Pan poruszył się niespokojnie, warknął i zgrzytnął zębami.

Zaczęła bezmyślnie skrzeczeć wystraszona arara.

Żako brzęknął łańcuszkiem i, nie otwierając oczu, rzucił w mrok:

— Hallo, hallo! Arara — dureń! Wujku Pawle, hallo! hallo! Ararra — dureń!

Łaciasta kotka uspakajającym głosem miauczała, wołając do siebie przerażonego kociaka.

Ten odpowiadał cichym, żałosnym piskiem...

Księżyc toczył się po czarnem niebie, niby srebrna kula, ślizgająca się leniwie.

Cykały i miotały się w mroku nietoperze. Chrapał chłopak, siedzący przy drzwiach zwierzyńca.

Gdzieś na dalekiej ulicy zaturkotała drewniana kołatka stróża nocnego.

W pobliskim domku z łoskotem otwarły się drzwi i rozległ się wściekły głos:

— Złodzieju, pijaku, przepiłeś zegarek? Ja cię z domu wyrzucę, wyklnę, nicponiu!

Rozległo się nowe ujadanie psów.

Z głębi szopy wyrwało się tęskne westchnienie lwa.

Rudy Pan zamruczał i zgrzytnął zębami...

I znowu — cisza...

ROZDZIAŁ SZÓSTY

CHWILA, W KTÓREJ CLOWN STAJE SIĘ „CZCIGODNYM".

Tymczasem woddali, gdzieś na krańcu miasteczka, z poza czarnych drzew sadów i małego gaiku wysoko, pod czarne sklepienia nieba z sykiem buchnął nagle słup iskier i czarnego dymu.

Po chwili ciszę nocną zmącił rozpaczliwy, trwożny głos:

— Ogień! Ogień!

Stróż nocny, łomocąc kołatką i gwiżdżąc przeraźliwie, biegł na rynek, gdzie przed ratuszem wisiał duży dzwon.

Bił w niego na trwogę i krzyczał:

— Pożar! Pożar! Pali się dom Henryka Walczaka! Pożar! Pożar!

Z domu wypadli nagle wyrwani ze snu ludzie i patrzyli w przerażeniu na łunę, drgającą i pląsającą na niebie. Rozległy się wzburzone krzyki, gwar strwożonych głosów, nawoływanie, gwizdki.

Coraz większy tłum zbierał się na rynku; zgiełk i hałas wzmagał się, bo przybiegały wystraszone kobiety, płakały i zawodziły; szczekały psy; rwały się w powietrzu jękliwe, budzące niepokój dźwięki sygnaturki kościelnej, turkotały i skrzypiały koła wózków, wiozących beczki z wodą i pompy, tupotały nogi ludzi, spieszących na pomoc z siekierami, bosakami i drabinami.

— Prędzej! Prędzej! — wołano. — Cały dach w płomieniach!...

Przybiegł mieszkający w zajeździe Paweł Roma i krzyknął:

— Bierzcie moje muły i konie, zaprzęgajcie do wozów z beczkami!

Tłum otoczył piętrowy domek, stojący na wyjeździe z miasteczka.

Płomień szybko ogarniał drewniany dach. Z pod okapu wyrywały się czerwone języki ognia, nad przepalonemi deskami i gontami wichrzyły się kłęby dymu, wytryskały, rozsypując się w szkarłatne snopy, kaskady iskier i rozżarzonych węgli syczących.

Mężczyźni pod dowództwem burmistrza ustawiali pompę i przeciągali długą kiszkę gumową; inni znów przynosili drabiny, wieźli beczki z wodą lub bosakami zrywali płonące deski.

— Ludzie! — krzyknęła przeraźliwym głosem jakaś kobieta. — Przecież Walczak z żoną pojechali do rodziców! W domu pozostały tylko dzieci! Ratujcie, bo spłoną żywcem! Ludzie, ratujcie!

Kilku mężczyzn podbiegło pode drzwi, zasłaniając rękoma twarze, bo płomień dyszał żarem nieznośnym. Dobijali się do drzwi, starali się wysadzić je, zaczęli nawet rąbać siekierami, lecz mocne, grube deski dębowe, okute żelaznemi sztabami i ozdobione wielkiemi gwoździami nie ulegały wysiłkom ludzi.

W tej chwili zgiełk głosów, syk ognia i trzask palącego się drzewa przeszył brzęk pękającej szyby. Dwuch chłopaków wyjrzało przez okno. Wykrzywione, blade twarzyczki, nieprzytomne ze strachu, szeroko rozwarte, obłędne oczy i nieme, skute lękiem usta — mówiły o rozpaczliwem przerażeniu dzieci.

Syczała woda, spadając strugami na płonący dach, buchała para, latały dokoła odrywające się płonące drzazgi i węgle, zataczające krwawe łuki nad tłumem.

Dach mógł runąć, zawalić się lada chwila.

— Skaczcie! Skaczcie! — wołali burmistrz, sędzia i dentysta, podchodząc pod okno i podnosząc ręce, aby pochwycić chłopców.

Dzieci, skamieniałe z przerażenia, nie ruszały się z miejsca.

Podstawiono drabiny, lecz ogień prażył coraz potężniej i nikt się nie odważał wejść na nie.

Nagle ktoś krzyknął rozkazującym głosem:

— Rozstąpcie się, obywatele! Rozstąpcie się!

To wołał Paweł Roma. Prowadził za sobą „Gustawa". Słoń podniósł trąbę nad głową, głośno i trwożnie chrapał i poruszał uszami.

Roma wskazał słoniowi dom i krzyknął:

— Wyłamać drzwi, Gustawie!

Olbrzym zawahał się na chwilę, lecz usłuchał rozkazu.

Drobnym truchtem podbiegł do okutych drzwi, oparł o nie swój łeb szeroki, przysiadł i, nagle

wyprężając mocno ciało, zgiętemi kolanami z całej siły uderzył w deski.

Z łoskotem i trzaskiem wypadły drzwi razem z framugą i kilkoma cegłami.

Jeden z cyrkowych clownów natychmiast wbiegł do domu i po chwili powrócił, wlokąc za sobą drżących, słaniających się chłopaków.

— Do roboty, Gustawie! — krzyczał Paweł Roma.

Wkrótce słoń zaczął dowozić wodę, ciągnąc po kilka beczek naraz.

Słudzy i artyści cyrkowi, silni i zwinni, wpadali do palącego się domu i wynosili z niego rzeczy, meble, zapasy żywności i dobytek nawiedzonych klęską ognia mieszkańców małego miasteczka, składając wszystko w miejscu bezpiecznem.

Ogień zaczynał przygasać, ponieważ obficie polewano go wodą z sikawki. Już kilka śmiałków wdrapało się pod sam okap i zrywało deski, smolne gonty i chlustało wodę do wnętrza strychu.

Gustawa postawiono przy złożonych rzeczach, wyniesionych z domu.

Nagle podniósł uszy, sapnął głośniej i zerknął na ziemię. Zobaczył duży koszyk, pełen jabłek i pierników.

Już wyciągnął trąbę do przysmaków, lecz widocznie coś sobie przypomniał, bo opuścił ją znowu i odszedł dalej od pokusy.

W tej chwili rozległ się gniewny głos policjanta:

— Ach ty, drabie jeden, złodzieju! Oddawaj srebrną łyżkę! Widziałem na własne oczy, żeś wyciągnął ją z komody! Okradasz ludzi w nieszczęściu? Patrzcie-no go! Syn zegarmistrza, uczciwego człowieka, a złodziej!

To mówiąc, szarpnął jakiegoś wyrostka, odebrał mu skradzioną rzecz, a potem, złapawszy za kołnierz, zawlókł do biura policyjnego. Tłum odprowadzał złodzieja ponurym, groźnym pomrukiem i okrzykami oburzenia.

Przy uratowanych dzieciach krzątały się kobiety, otulając je kołdrami i pojąc wodą. Powoli powróciły do przytomności i cicho płakać zaczęły.

Zbliżyła się do nich Reginka i przyjrzała im się bacznie.

Nagle uśmiechnęła się i, pochylając się nad starszym chłopakiem, szepnęła:

— To ty, Stefanie? Jakże się cieszę, że nic ci się złego nie przydarzyło! A widzisz, jaki dobry i szlachetny jest nasz Gustaw? Słoń zapomniał o wyrządzonej mu przez ciebie krzywdzie i uratował ciebie i twego braciszka! Bardzo jestem szczęśliwa!

Stefan porwał jej drobną, mocną rączkę i przycisnął się do niej wargami, płacząc i śmiejąc się zarazem.

Dziewczynka głaskała chłopaka po zwichrzonej czuprynie i bladej twarzyszce.

Tymczasem pożar ugaszono ostatecznie, wniesiono zpowrotem i ustawiono na dawnem miejscu uratowane meble, statki, i skrzynie i polecono nocnemu stróżowi, sędziwemu Adamowi, aby pilnował, żeby źli, występni ludzie nie ukradli czegoś.

Tłum jednak długo jeszcze się nie rozchodził. Podziwiano słonia, jego posłuszeństwo i siłę; wychwalano pod niebiosa szlachetność, ofiarność i dobre serce Pawła Romy i jego artystów,

a szczególnie clowna Lusia, tak odważnie i chętnie biorących udział w ratowaniu dzieci i w walce z ogniem.

Opasły właściciel zajazdu, przysłuchujący się tym rozmowom, wgramolił się na wózek z beczką i krzyknął:

— Obywatele! Chwała Bogu, niebezpieczeństwo minęło! Jesteśmy jednak bardzo wzburzeni, więc nikt, z pewnością, o śnie nie myśli. Wobec tego zapraszam wszystkich do mojej restauracji na przekąskę i filiżankę herbaty!

— Niech żyje nasz sąsiad, przemiły i gościnny pan Maksymiljan! — zawołał uradowany dentysta. — Wiem, że macie wyborne piwo z beczki, no, i te kiełbaski . . .

— Z kapustą . . . — dokończył felczer.

— Będzie to chyba najwcześniejsza na świecie uczta na cześć szlachetnych artystów naszych! — zawołał restaurator. — Niech żyją nam!

— Niech żyją! — odpowiedziały rozradowane głosy obywateli miasta, a doktór zaintonował basowym, chociaż bardzo fałszywym głosem:

— Sto lat... sto lat!...

Cały tłum, śpiewając i gwarząc wesoło, ruszył ku restauracji.

Burmistrzowa, cierpiąca na ból zębów, wymknęła się i uprowadziła ze sobą Stefana z jego braciszkiem.

Panie nieubrane, bo w pośpiechu narzuciły na siebie byle jakie szaty, przepraszały gościnnego pana Maksymiljana i powróciły do domów.

Pozostali tylko sami mężczyźni i z wesołemi okrzykami wchodzili do sali restauracyjnej, gdzie kelnerzy szybko zdejmowali ustawione na stołach krzesełka, znosili nakrycia, półmiski i kufle piwa.

Wkrótce rozległy się nowe wiwaty, śpiewki i śmiech głośniejszy.

Gdy goście podochocili się należycie, powstał burmistrz i zawołał:

— Piję za zdrowie i pomyślność czcigodnego i szlachetnego pana Pawła Romy i całego jego zespołu! Obcy nam i nieznajomi, przyszli oni z pomocą obywatelom naszego miasta, nie szczę-

dząc trudów i ryzykując życiem własnem. Niechże nam żyją długie, długie lata! Cześć im!

Na sali powstał taki huczek, zerwała się taka burza okrzyków, że aż stróż nocny, stary Adam, drgnął, myśląc, że, być może, gdzieś wybuchnął nowy pożar.

Paweł Roma stał uśmiechnięty i rozpromieniony.

Gdy się uciszyło trochę, odpowiedział z prostotą:

— Nie jesteśmy obywatelami tego miasta, lecz uważamy się za synów jednej wielkiej rodziny — ludzkości. Jeżeli sąsiad nie będzie pomagał sąsiadowi, jeden przechodzień drugiemu, spotkanemu w drodze, jeden naród — innemu narodowi, — nastąpią dni wielkiej klęski i zagłady dla wszystkich! Czyżby napróżno nas uczono o miłości bliźniego?

— Mądre, sprawiedliwe, a prawdziwe chrześcijańskie słowa wyrzekł czcigodny pan Roma! — rzekł ksiądz proboszcz, patrząc ze wzruszeniem na długiego i chudego, jak tyka, właściciela zwierzyńca.



„Gustaw" drobnym truchtem podbiegł do okutych drzwi i oparł o nie swój łeb szeroki... (str. 90)

Po tych słowach jeszcze większa ochota i wesołość zapanowała przy stolikach.

Burmistrz zafundował wina, natychmiast uczynił to samo i dentysta, a za ich przykładem poszli lekarz, sędzia i kupiec bławatny. Nawet ksiądz-proboszcz, chociaż nic nie jadł i nie pił, skinął na jednego z chłopaków i kazał mu skoczyć na plebanję.

— Powiedz kościelnemu, chłopcze, aby przyniósł nam tu te trzy omszałe butelczyny tokaju, które w zeszłym roku przysłano mi na imieniny! A duchem, duchem, mały!

Panowie popijali, wiwatując na cześć coraz to kogoś innego.

Paweł Roma, trącając się kieliszkiem z burmistrzem, mówił do niego:

— Życie, drogi panie, to — zupełnie jak w zwierzyńcu! Są w nim łagodne, spokojne, same do rąk garnące się zwierzęta, ale są też śmiałe, silne i drapieżne, nie dające się łatwo oswoić. Tymczasem wszystko to musi żyć razem, więc trzeba ułaskawiać dzikie, niesforne zwierzęta, aby nie wyrządziły innym krzywdy. Żyjąc z niemi, mu-

simy sobie wzajemnie pomagać, bronić, baczyć, żeby drapieżniki nie napadały i nie szkodziły . . . Tak też i w życiu bywa, mój panie burmistrzu!

— Tak! Tak! — potrząsając głową zgadzał się „ojciec miasta“ i dolewał wina do kieliszków.

Już słońce dawno weszło i odegnało szary zmrok przedświtu, gdy goście pana Maksymiljana tłumnie opuszczali gościnne progi zajazdu „Pod podkową“.

Roma, chociaż mieszkał w tym samym domu, wyszedł wraz z innymi. Chciał odprowadzić proboszcza i burmistrza do domu, a po drodze rzucić okiem na swoje zwierzęta.

Pożegnawszy nowych przyjaciół, wszedł do szopy.

Wyrostki sprzątali już klatki, znosili wodę w kubełkach i zamiatali podłogę.

Małpki skrzeczały, swarząc się o resztki marchwi i jabłek; krzyczały papugi, kołysząc się w mosiężnych obręczach, oczyszczając i prostując zmięte pióra; warczał i zgrzytał zębami rudy orangutan, usiłując wyrwać żelazną sztabę klatki; świergotały drobne ptaszki; hiena i wilk

biegały z kąta w kąt klatek; ryś spał; kuna ukryła się w dziupli; jeżozwierz, nastroszywszy kolce, fukał i sapał gniewnie; jelenie, daniele i sarny wyciągały do ludzi zgrabne głowy i węszyły mokremi chrapami; niedźwiedzie pomrukiwały sennie; Bengal leżał nawznak i żółtemi ślepiami wodził za kręcącymi się po szopie chłopakami.

Paweł Roma zatrzymał się przed klatką lwa i pokiwał głową ze smutkiem.

Mięso, najlepsze, świeże mięso leżało w kącie nietknięte.

Cezar stał tuż przy kracie i naprężonym wzrokiem okrągłych, żółtych ślepi patrzył wprost przed siebie.

Roma spojrzał w kierunku oczu lwa i zdumiał się.

Czarny, nieruchomy orzeł takim samym wzrokiem wpatrywał się we lwa.

Spojrzenią ich krzyżowały się, mówiły do siebie bez słów, a było w tej mowie bezdźwięcznej coś tak porywającego, że oba drapieżniki zapomniały o spoczynku nocnym i o pożywieniu.

I znowu orzeł cisnął swój klekot pogardliwy, groźny, ostry, jak grot strzały.

Hiena przystanęła, podniosła zły, wstrętny pysk i zachichotała przeciągle, urągliwie.

Żako, opuściwszy głowę nadół, naśladował śmiech:

— Hehehe! Hehehe! . . .

ROZDZIAŁ SIÓDMY

O ŻYCIU NA WOLNOŚCI.

Wieść o odważnem i ofiarnem zachowaniu się wędrownych artystów podczas pożaru w miasteczko lotem błyskawicy obiegła okoliczne wioski i osady, docierając do powiatowego miasta.

Przybył jakiś starszy urzędnik, wypytał o wszystko burmistrza, a potem kazał przyprowadzić do siebie Pawła Romę i mówił coś do niego długo i bardzo nudno. Roma z tego wszystkiego zrozumiał tylko, że urzędnik dziękuje mu za pomoc w czasie pożaru.

Stał wyprostowany, długi, jak tyka, i myślał:

— Jeżeli ten pan chciał mi dziękować, to, powinienby przecież sam się pofatygować, a nie sprowadzać mnie do siebie przez policjanta, jak jakiegoś zbrodniarza do sądu ... Hm! ... głupie mają nawyknienia ci panowie, rządzący nami...

Urzędnik wyraził życzenie obejrzeć zwierzyniec.

Oglądał go długo i starannie, poczem z powagą nadzwyczajną ukłonił się Romie i odszedł majestatycznie, nic nie zapłaciwszy.

— Hm . . . hm . . . — mruczał właściciel zwierzyńca. — A to dobrze podziękował! No — no — no! Gdybym ja tak uczynił, odstawionoby mnie do policji . . .

Machnął ręką i poszedł na spotkanie dwuch nieznajomych panów, zbliżających się do zwierzyńca.

Byli to dyrektorowie gimnazjów z powiatowego miasta. Przyjechali, aby uprzedzić Romę, że wkrótce przybędą dla oglądania zwierząt uczniowie i uczennice wszystkich szkół wraz z profesorami i nauczycielkami.

Istotnie najbliższym pociągiem przybyły tłumy młodzieży i dziatwy.

Jeden z profesorów, człowiek stary i łysy, w okularach o grubych szkłach, począł opowiadać o zwierzętach i ptakach. Obok niego chodził stale Paweł Roma z Reginką; trzymali się tuż w pobliżu, obawiając się, że dzieci będą drażniły zwierzęta lub częstowały je zakazanemi i szkodliwemi przysmakami.

Profesor zatrzymał się wreszcie przed klatkami dużych drapieżników i, patrząc na nich zmrużonemi oczami, bez błysków spoglądającemi z poza grubych szkieł, mówił jednostajnym, znużonym głosem:

— Tygrys i lew są przedstawicielami bardzo rozpowszechnionej rodziny kotek. Lew posiada szaro-żółte zabarwienie futra, co pozwala mu doskonale dostosowywać się do takiegoż zabarwienia skał i piasków jego ojczyzny; tygrys posiada rudo-czarną skórę pręgowaną i ogon bez kity na końcu, jaką ma lew...

Reginka ze zdumieniem słuchała uczonego, łysego pana.

— Mój Boże! — myślała dziewczynka. — Przecież chłopaki i dziewczynki bez jego objaśnień widzą to wszystko na własne oczy?!

Obejrzała się dokoła. Młodzież słuchała obojętnie, lub wcale nie słuchała łysego profesora o zmrużonych, niewidzących oczach przygasłych.

Profesor ględził dalej, przypominając sobie powtarzane od szeregu lat zdania, zapożyczone z książek:

— Ogon tygrysa posiada jaśniejsze owłosienie niż grzbiet, wąsy mają białą barwę, duże oczy o okrągłych źrenicach — żółto-brunatnego koloru... Teraz opowiem wam o lwie...

Przysłuchujący się wykładowi Paweł Roma nie wytrzymał i ze śmiechem zawołał:

— Czyż pan profesor nic więcej o wspaniałem, potężnem zwierzęciu, jakiem jest tygrys, nie może opowiedzieć tym miłym, młodym ludziom i panienkom? Jeżeli pan pozwoli, to ja im opowiem!... Słyszałem dużo o tygrysach od starego Ludwika Gerarda, od którego kupiłem swego Bengala. Ha! Stary to był, doświadczony myśliwy — ten dzielny Ludwik... Umarł biedak przed trzema laty w Singapoore, gdzie go zmogła epidemja cholery... Czy mogę opowiedzieć?

Profesor, przecierając szkła okularów, uśmiechnął się łagodnie i rzekł:

— Bardzo proszę! Lepiej pan to potrafi niż ja. Spotykacie się często z dzikiemi zwierzętami i niemal żyjecie wśród nich. Ja wiem, dlaczego i jak podzielono wszystkie istoty żyjące na klasy, rodzaje i grupy, jakie i ile zębów posiada każdy

gatunek, jak po łacinie nazywa się każda kość i mięsień, ale rozumiem, że młodzież interesują inne rzeczy. Proszę więc opowiedzieć, bo i ja z przyjemnością posłucham!

— Mądry i dobry z pana profesora człowiek! — zawołał szczerze Paweł Roma. — No, więc posłuchajcie państwo! Że tygrys jest kotką, to chyba każdy widzi od pierwszego rzutu oka. Ma bardzo barwne i pstre futro. Zdawałoby się, że można z łatwością spostrzec takiego eleganta, a tymczasem stary Gerard mówił mi, że nieraz tygrys był o dziesięć kroków od niego, a on — bystrooki myśliwy, nie mógł go rozejrzeć wśród trzcin, powikłanych gałęzi krzaków lub wysokich białych, żółtych i zupełnie zczerniałych chwastów... Ba! Tygrys jest kotką i lew — również, mają one ogromne, ostre pazury, a tymczasem, czy wiecie państwo, że nigdy nie włażą na drzewa?... Tygrysa, hindusi nazywają — „nagar", co znaczy „wielki pan". Pomiędzy niemi myśliwi odróżniają trzy gatunki: polujące na dzikie zwierzęta, na bydło domowe, trzecią odmianę stanowią tygrysy — ludożercy...

— Nauka odróżnia tygrysy *południowe*, żyjące w Indjach Brytyjskich, Indo-Chinach i w południowych prowincjach chińskich, Afganistanu i Persji aż do brzegów morza Kaspijskiego; i — *północne*, spotykane w Mandżurji, Korei i — wschodniej Syberji w górach Sichota—Aliń — w systemach rzek Amura i Ussuri — poprawił profesor opowiadającego właściciela zwierzyńca.

— No, tak, ale i tu i tam myśliwi znają trzy odmiany tygrysów stosownie do nawyknień i charakteru tych drapieżników — odparł natychmiast Paweł Roma.

— Proszę nam opowiedzieć coś jeszcze o tygrysach! — prosiła tłocząca się dokoła niego młodzież szkolna.

— O tygrysie i jego życiu można opowiadać całemi dniami, tyle, bowiem, nagromadziło się prawdy i legend o tym drapieżniku, że starczyłoby tego na długo! — zawołał Roma. — Czy wiecie, jak poluje ogromny, pręgowany kot? Jest to porywający i straszny obraz! Zwykle tygrys zaczaja się w krzakach, na skraju polan, gdzie

przychodzą na paszę lub na lizanie soli jelenie i bawoły, przy wydeptanych przez inne zwierzęta ścieżkach leśnych, lub w gąszczu nad rzeką, w miejscu, obieranym na wodopój przez mieszkańców dżungli indyjskiej lub „tajgi“ syberyjskiej. Poluje tygrys o każdej porze dnia i nocy. Zależy to od stanu jego żołądku. Zwykle udaje mu się podejść swoją ofiarę tak blisko, że porywa ją odrazu, chwyta za gardło lub za kark, albo obala uderzeniem mocnej łapy. Jeżeli napadnięte zwierzę zdoła wyrwać się drapieżnikowi, lub zwęszy go zawczasu i szuka ocalenia w ucieczcie, to tygrys ściga swoją zdobycz szybkiemi skokami, uderzeniem pazurów usiłując przerwać jej mięśnie na nogach i obezwładnić ją.

Roma zapalił cygaro i ciągnął dalej:

— Tygrys nie napada jedynie na słonia, nosorożca i starego bawoła-samotnika, wszystkie zaś inne zwierzęta stają się ofiarą pręgowanego drapieżnika. Zresztą, przepraszam, istnieje jeszcze jeden leśny mieszkaniec, którego omija tygrys. Jest to stary odyniec; przy spotkaniu taki dzik zostaje często zwyciężony, lecz dla tygrysa staje

się to „pyrrusowem zwycięstwem“, ponieważ przeciwnik, chociaż znacznie od niego mniejszy, zawsze zdąży zadać mu straszliwe, zabójcze rany swemi zakrzywionemi szablami. Wytropiwszy stado dzików, tygrys bardzo starannie wypatruje, czy razem z lochami i wycinkami nie idzie czasem stary odyniec, — ponury, odważny, zły i czujny.

Pyknął fajeczkę chudy Roma i, zniżając głos, mówił dalej:

— Mój przyjaciel Gerard, który cały swój majątek przepuścił na polowania w dalekich, dzikich krajach i na starość był zmuszony zająć się chwytaniem zwierząt na sprzedaż do ogrodów zoologicznych i menażeryj, opowiadał mi, że tygrys jest najstraszniejszym drapieżnikiem, — podstępnym, przedsiębiorczym i niezwykle silnym. Gdy, rzucając się na swoją ofiarę, wydaje kilka krótkich, urwanych chrapnięć, odgłosy te przejmują zgrozą, — bo odczuwa się w nich wściekłość niepohamowaną. Chińscy myśliwi w Mandżurji nazywają je „głosem śmierci“. Jednak tygrys rzadko odważa się napadać na człowieka i starannie unika spotkania z nim. Gdy

myśliwy tropi tygrysa, ten w mig zrozumie, że tu chodzi o jego skórę i, wysławiając się poetycznie, „podnosi rzuconą mu rękawicę“. Ludwik Gerard przysięgał mi na wszystkie świętości świata, że raz jeden tylko udało mu się zastrzelić tygrysa, mierząc wprost przed siebie. W innych wypadkach (a twierdził, że zabił 18 bengalskich tygrysów i 14 północnych, czyli amurskich!) był zmuszony strzelać do tygrysa, który wypadał z haszczy zawsze ztyłu. Wielki, pręgowany kot, zrozumiawszy, że człowiek ściga go, odrazu przechodzi do ataku i zaczyna polować na człowieka, a wtedy nie przeraża go już karabin, chociaż doskonale pojmuje, co to za niebezpieczna zabawka! Ho-ho! Tygrys, proszę państwa, to prawdziwy „bach“, czyli „czarnoksiężnik“, jako nazywają go tubylcy Nepalu!

— Pan wspomniał o tygrysach-ludożercach... — odezwał się jeden z młodzieńców, przysłuchujący się opowiadaniu Romy.

— Tak! Są i takie, chociaż naogół rzadko spotykane — odparł właściciel zwierzyńca. — Niczem się one nie różnią od zwykłych tygrysów,

oprócz tego, że już nie napadają na jelenie, dziki, sarny i domowe bydło. Ofiarą ich żarłoczności i siły stają się wyłącznie bezbronni mężczyźni, kobiety i dzieci... Robią na nich zasadzki, czając się wpobliżu dróg i uczęszczanych ścieżek leśnych... Proszę tylko pomyśleć! Nie tylko bawół, dzik, lecz nawet jeleń, kozioł, baran, pies bronią się, czem kto może: rogami, kłami, pazurami, i jedynie człowiek pozostaje wobec straszliwego napastnika bezbronnym, ale to zupełnie bezbronnym! Cóż możemy przeciwstawić tygrysowi my — słabi ludzie?! Co znaczą wobec jego potężnych łap i kłów potwornych nasze zęby, pięści i słabe muskuły, które przerywa jednem zadraśnięciem zakrzywionego pazura? Zdawałoby się, że natura stworzyła człowieka na pożywienie drapieżnikom; słabi, nieuzbrojeni, powolni w ruchach, pozbawieni czujności i węchu, uprzedzającym o niebiezpieczeństwie, ludzie powinni być oddani na żer silniejszych istot. Tymczasem zwierzęta-ludożercy: wilk, niedźwiedź, tygrys, lew, pantera, jaguar rzadko są jednak spotykane!

— Dlaczego? — rozległo się kilka głosów naraz.

— Ha, dlaczego? — zaśmiał się Roma. — Ja tego nie wiem, ale kiedyś, zwiedzając zwierzyniec Hagenbecka w Hamburgu, słyszałem objaśnienie tej zagadki przez pewnego bardzo uczonego profesora. Otóż ten pan tłumaczył to w ten sposób... „Zwierzęta — mówił — od zarania bytu, przy pierwszem spotkaniu z człowiekiem, zrozumiały, że jest on silniejszy od nich nie rękami, zębami i pazurami, lecz rozumem. Kryjący się na drzewach, lub w jaskiniach człowiek wchodził do lasu, trzymając w słabej dłoni mocną maczugę, lub ciężki kamień, uwiązany na rzemieniu, i tą pierwotną bronią zwalczał jaskiniowego tygrysa i niedźwiedzia, rozwalał czaszki bawołów i nosorożców toporem z krzemienia; wkrótce zaczął ciskać kamienie z procy i wypuszczać pierzaste, ostre strzały, zatwierdzając swoje panowanie na ziemi i siejąc strach dokoła. Od kilku już wieków posługuje się człowiek niezwalczoną, niosącą śmierć bronią palną... Zwierzęta dobrze pamiętają o tem i nie-

znanemi drogami to doświadczenie życiowe przekazują z pokolenia na pokolenie... Dlatego właśnie zwierzęta unikają spotkania z człowiekiem, królem ziemi, boją się stanąć oko w oko z nim! Tak twierdził profesor...

— A jednak pan mówi, że istnieją tygrysy-ludożercy? — zapytano Romę.

— Twierdzę, bo wiem o tem od ludzi, całe życie spędzających wśród dżungli, lasów i gór — odpowiedział dyrektor zwierzyńca. — Wszakże zdarza się to tylko wtedy, gdy tygrys, lew, niedźwiedź, lub wilk zestarzeją się ostatecznie. Nie mogą one już gonić rączych jeleni i śmigłych antylop, nie odważają się napadać nawet na stado, obawiając się ostrych rogów byków i kłów brytanów, strzegących pastwiska. Długo żyją o głodzie, żywiąc się myszami, żółwiami, jaszczurkami, a nawet szarańczą. W końcu głód zmusza je do zdobycia obfitego pokarmu. Wtedy zaczynają czatować na przechodzących bezbronnych, samotnych ludzi. Świadczy o tem fakt, że zwierz-ludożerca nigdy nie napada na człowieka, chociażby słabo uzbrojonego, atakuje

zaś wyłącznie tuziemców. Białym ludziom nie ufa nigdy, bo wie z doświadczenia przodków swoich, a może i — własnego, że europejczyk, napozór nieuzbrojony, nieraz nosi ukrytą broń — nóż i rewolwer. Tak, proszę, państwa, dziki zwierz, napadający na ludzi, to zawsze — starzec, słaby, goniący resztkami sił, których mu może starczyć wyłącznie na walkę z najsłabszą z żyjących istot — człowiekiem! W społeczeństwie ludzkiem, cywilizowanem, sprawa ta, zdaje się, stoi całkiem inaczej. Drapieżni ludzie bywają zwykłe w bardzo młodym lub w sile wieku... Są to zbrodniarze, którzy mogliby się powstrzymać od przestępstwa, tymczasem zwierz-ludożerca jest zmuszony do zbrodni przez głód, chorobę, starość... Wielka w tem tkwi różnica!

— Może pan opowie nam o sposobie łapania i polowania na tygrysy? — spytał uważnie słuchający Romy, łysy profesor. — Z pewnością, przyjaciel pana opowiadał o tem nieraz!

— O, tak! — zawołał z ożywieniem Paweł Roma. — Stary Ludwik był najlepszym znawcą

tego procederu! Opowiem państwu o tem. W stare czasy, gdy nad całym światem prawie panowali Rzymanie, tygrysy i lwy chwytano w celu przesłania ich poteżnym, ubóstwianym cezarom w darze. Polowanie odbywało się w ten sposób, że w kniei osaczano drapieżników, a setki niewolników i jeńców wojennych, uzbrojonych w sieci i mocne powrozy, rzucało się na dzikie zwierzęta. Ginęło przy tych łowach sporo ludzi, a jeszcze więcej kaleczyły ich wściekłe, zrozpaczone bestje. Imperator rzymski Klaudjusz, miał cztery tygrysy, które trzymał przy tronie swoim na łańcuchach; Heliogabal ukazywał się tłumowi w kwadrydze, ciągnionej przez tygrysy, Neron więził w katakombach cyrku kilkanaście tygrysów, którym oddawał na pożarcie chrześcjan, wypuszczonych na arenę. Obecnie łowy odbywają się inaczej. Hindusi, Abisyńczycy, Arabowie i Mandżurowie, znając ścieżki, uczęszczane przez drapieżniki, kopią na nich głębokie doły, okrywają je gałęziami i przysypują ziemią. Gdy tygrys lub lew wpadną do zasadzki, zarzucają im pętlę na szyję, ściskają i wiążą sznurami.

Europejczycy używają pułapek dla schwytania tygrysa, pantery, lamparta, lub lwa. Jest to duża klatka, w której żałośnie beczy zamknięte w niej koźlątko. Drapieżnik, zwabiony tym głosem, skrada się da przynęty, wchodzi do klatki, potrąca o drąg lub sznur i zatrzaskuje za sobą drzwi.

— Pułapka na myszy! — zawołała mała dziewczynka.

— Tak! — odparł ze śmiechem Roma. — Ogromna pułapka na myszy, tylko zamiast myszy wpada w nią straszny, pręgowany kot!

— W jaki sposób myśliwi polują na tygrysy? — pytano znowu.

— Myśliwy tropi zawsze, idąc śladem zwierza po bagniskach indyjskich dżungli, lub po śniegu w „tajdzie“ wschodniej Syberji, albo też czai się przy wodopojach, gdzie tygrys urządza zasadzkę na jelenie i bawoły. Radżowie indyjscy i bogaci sportsmeni angielscy polują w najbardziej podniecający sposób. Wysłani tubylcy tropią tygrysa, otaczają jego legowisko i zaczynają pędzić go do środka koła, tak samo, jak

czynią to nasi myśliwi z zającami, w „kotłach". W srodku takiego „kotła" znajduje się myśliwy, ukryty na drzewie, lub siedzący na słoniu. Celnym strzałem z dobrej, współczesnej broni myśliwy zdobywa piękne trofeum, które potem zdobi pałac jego w Bombaju, Kalkucie lub Londynie. Tygrysy są starannie tępione przez europejczyków, i, prawdopodobnie, wkrótce nastąpi czas, gdy ten wspaniały, drapieżny kot zniknie z powierzchni ziemi. Ciekawą rzeczą jest, że tubylcy nie uważają tygrysów za szkodliwe zwierzęta! Hindusi-rolnicy twierdzą, że tygrys hojnie płaci im za porywane bydło!

— Płaci za szkodę? — rozległy się ździwione głosy dzieci, a nawet łysy profesor zdjął okulary i z niedowierzaniem spojrzał na Romę.

— Tak, tak! — kiwnął głową chudy Paweł.— Tygrysy odpędzają od stad drobniejszych, a bardziej licznych drapieżników — pantery, rysie, barsy, niedźwiedzie, wilki i szakale. Oprócz tego tępią jelenie, dziki i bawoły, które są największymi szkodnikami, niszczącymi uprawne pola hindusa lub chińczyka i mandżura. Nie

wszystko można mierzyć własną miarą! Życie jest wszędzie bardzo odmienne i z różnego punktu widzenia należy je rozpatrywać!

Łysy profesor nagle zaśmiał się głośno.

— Głęboka prawda tkwi w tych słowach! — zawołał, potrząsając rękę Romy. — Mój znajomy — kupiec angielski z Egiptu uskarżał się, że Nil, rozlewając, niszczy mu klomby przed willą jego, a przecież dla miljonów rolników ten wylew rzeki stanowi najlepsze użyźnienie gleby?!

— Właśnie, właśnie! — potakiwał Paweł Roma, nadsłuchając opowiadania jakiejś nauczycielki o rzadkich gatunkach małpek brazylijskich, o papugach kakadu, ararach, żako, kwezalach i drobnych, barwnych, połyskujących wspaniałemi piórkami ptaszkach z rodziny kolibrów: „orlidziób“, „mieczodziób“, „wenezuelski chorąży“, „wspaniały elf“, kolibri hełmowe, topazowe, słoneczne, rubinowe i rogate, safo, o ptaszkach „kardynałach“ i o podzwrotnikowych pięknie upierzonych drozdach, mieniących się wszystkiemi barwami tęczy.

Roma spojrzał na zegarek.

— Panie i panowie! — zawołał. — Zbliża się godzina przedstawienia. Proszę pośpieszyć z oglądaniem zwierząt! Wkrótce zamykamy zwierzyniec!

Prawie cała publiczność stłoczyła się dokoła klatki orangutana.

„Rudy Pan" siedział spokojnie i uważnie się przyglądał nieznajomym ludziom.

Piramidalnie zaostrzona głowa z wysuniętym naprzód pyskiem i wydętemi wargami mogłaby się wydać bardzo szkaradną, gdyby nie duże, piwne oczy, o tęsknym, zamglonym wyrazie.

Młoda nauczycielka ożywionym głosem opowiadała o tych najbardziej inteligentnych małpach.

Słuchacze dowiedzieli się, że niemal do XVIII stulecia orangutany, czyli „mejasy", jak je nazywają „dajaki" — tuziemcy Borneo, były uważane za „leśnych ludzi", chodzących na dwuch nogach i posługujących się kijami. Były to legendy, ponieważ orangutany, mieszkające przeważnie na wysokich drzewach w gęstych

lasach, nie potrzebują chodzić pionowo. Szybko suną wśród labiryntu gałęzi, przerzucają się z drzewa na drzewo i zrzadka tylko schodzą na ziemię po młode pędy roślin lub do wody. Pożywienie ich stanowią owoce i młode liście.

— Mejasy urządzają sobie gniazda na drzewach — mówiła nauczycielka i nagle zawołała:

— Ale patrzcie, patrzcie!

Rudy Pan, który postanowił przespać się, zaczął rozgarniać i przetrząsać siano, położył sobie pod głowę kupę suchej trawy i upadł na posłanie.

— Żyjąc na wolności małpy te zrywają gałęzie, układają je pomiędzy konarami i w ten sposób budują gniazdo. Podróżnicy twierdzą, że orangi podczas ulewy przykrywają się dużemi liśćmi. Mejas nie lubi schodzić na ziemię. Chociaż posiada on straszliwą siłę, staje się nieraz ofiarą pantery, węża i krokodyla. Do ludzi małpa ma pewne zaufanie i nie śpieszy się zbytnio z ucieczką przed niemi. W niewoli oswaja się łatwo, szybko naucza się różnych nieznanych jej czynności i nabiera pewnych nawyknień, nie

zawsze dobrych, naprzykład: pociągu do alkoholu! Orang chętnie je mięso i sól. Niestety, gruźlica stanowi plagę, dziesiątkującą te mądre, rzadkie zwierzęta, znajdujące się w ogrodach zoologicznych i menażerjach .

Nauczycielka skończyła swoje opowiadanie, gdy wmieszał się Paweł Roma.

— Pani pozwoli, że coś — niecoś dodam do opisu życia orangutanów, bo słyszałem o tem od marynarzy holenderskich, płynących z Sumatry i Borneo, gdzie mają swoją ojczyznę „mejasy“. Orang nigdy nie napada na ludzi, lecz ranny lub schwytany broni się zawzięcie i rozpaczliwie, a ciosy, zadawane długiemi rękami zwierza, bardzo są zbliżone do pewnych uderzeń, stosowanych przy boksowaniu. Siła szczęk i twardość zębów orangutana jest tak wielka, że małpa z łatwością rozgryza największy orzech kokosowy, z którego wypija „mleko“. Przy napadzie krokodyla małpa stara się wskoczyć mu na grzbiet. Gdy jej się to uda, los płaza zostaje zdecydowany. Orang zatłucze go na śmierć potężnemi ciosami pięści. Nawet przy spotkaniu

z panterą zdarza się, że mejas łamie jej szczęki rekordowym knock-out'em, a potem skręca kark, mrucząc chrapliwie...

Rozległ się dzwonek, nawołujący publiczność do cyrku.

Młodzież szkolna i dorośli opuszczali zwierzyniec i śpieszyli do zielonego namiotu.

Żako darł się na całe gardło:

— Hallo! Hallo! Do widzenia, do widzenia!

Umilknął i już zupełnie nieprzyzwoicie gwizdnął przeciągle, zuchwale.

— Hehehe! Hehehe! — śmiał się Żako, przekręcając głowę na wszystkie strony. —

W cyrku wszystko już było przygotowane do przedstawienia.

Wesołemi, hucznemi oklaskami spotykano „ulubieńców publiczności", jak nazywał słonia i niedźwiedzi długi i chudy, jak tyka, Paweł Roma, którego jakiś figlarz — chłopak na poczekaniu przezwał „żyrafą".

Istotnie „Gustaw" wpadł w tak świetny humor, że, stanąwszy na tylnych nogach, razem z Reginką wykonał „charlestona" i po skończo-

nym numerze wciąż jeszcze podrygiwał, porykując ochoczo.

Słoń pokazał też nową sztuczkę.

Szedł przez arenę, na której leżał wyciągnięty, czarny Miś.

Olbrzym musiał przestąpić przez niego, nie uczyniwszy mu krzywdy i nie zawadziwszy o niego.

„Gustaw" podnosił nad leżącym przyjacielem grube, jak słupy, nogi i ostrożnie stawiał je na ziemi, mrucząc uspokajająco. Jednak nie wytrzymał i, opuściwszy trąbę, uszczypnął Misia za bok, niedźwiadek ryknął, zerwał się i, odbiegłszy parę kroków, fiknął koziołka, powodując wybuch śmiechu wśród młodej, rozbawionej publiczności.

Gorąco przyjmowano też Reginkę, wykonywującą trudne skoki na koniu, oklaskiwano również innych jeźdźców; Marję Roma z tresowaną foką „Stellą" i z figlarnemi niedźwiedziami; akrobatów; żonglującego dyrektora.

Szczególnie jednak podobał się młodzieży i dziatwie występ clowna Lusia.

W szerokim stroju biało-zielonym, w miękkiej, białej, stożkowatej czapeczce clown zjawił się na arenie, grając na flecie.

Ukłoniwszy się publiczności i śmiesząc ją zabawnemi minami, gwizdnął przeraźliwie.

Z poza kotary z piskiem wybiegła zgraja białych szczurów i myszy.

Zwierzęta zaczęły drapać się na ramiona i głowę clowna, właziły mu do kieszeni i za szeroki karbowany kołnierz, bystro zerkając na wszystkie strony czerwonemi oczkami.

Szczury trzymały się tak mocno ostremi pazurkami ubrania clowna, że chociaż raz po raz wykonywał podwójne „salto mortale", żaden nie zerwał się i nie spadł na piasek areny.

Wreszcie clown krzyknął:

— Hop!

Szczury i myszy natychmiast zeskoczyły na ziemię i ustawiły się, jak żołnierze, w prawidłowy czworobok.

Wystrojeni w czerwone, wygalonowane fraki chłopcy wnieśli długi stół z ustawionemi na nich przeróżnemi przedmiotami. Był tam pociąg

z lokomotywą, karuzela, armatka na kółkach, kareta, duży dom z tektury, pompa strażnicza z sikawką i mały fortepian dziecinny o siedmiu klawiszach.

Clown, trzymając w ręku cienką trzcinkę, pokrzykiwał na drobnych artystów:

— Hop, długie ogonki! Hop-hop, czerwonoślepki!

Na ten okrzyk małe, białe myszki, tłocząc się i śpiesząc, zaczęły wsiadać do pociągu i kręcić główkami, wyglądając z okien wozów; dwa stare szczury wgramoliły się na lokomotywę, a trzeci trząsł głową, wymachując trzymaną w pyszczku czerwoną flagą.

Lokomotywa gwizdnęła i pociąg, ciągnięty na sznurku przez clowna, kilka razy okrążył stół, przy burzy oklasków, krzykach i śmiechu widzów.

Tymczasem inne myszki i szczurki bujały w koszykach karuzeli, skakały przez ustawione na stole obręcze, chodziły na tylnych łapkach, tańczyły.

Gdy pociąg stanął, jakiś łysawy już ze starości szczur podbiegł do armatki i przytknął do za-

palnika małą pochodnię. Buchnął strzał i kłęby dymu wyrwały się z lufy armatki.

Wszystkie szczury i myszy raptownie się pokładły. Jedne leżały na boku, inne nazwnak, a wszystkie udawały, że są zabite.

Clown kłaniał się klaszczącej publiczności, wykrzywiając pomalowaną w różnokolorowe paski twarz.

Wreszcie podszedł do stołu i zawołał:

— Hop! Wstawać, nicponie! Do pracy!

Wszystko, co żyło, skoczyło na nogi. Cała czereda szczurza zaczęła biegać, skakać, koziołkować i piszczeć.

Cztery szczury wprzęgły się do karety, małe myszki wskoczyły do niej, a inne, popychając łapkami, ruszyły z miejsca wspaniały powóz, pomagając rumakom o długich, gołych ogonach.

Clown trzaskał z bicza i pokrzykiwał:

— Wjo! Wjo, koniki — siwki! Wjo! Wjo!

Mała zwinna myszka wdrapała się na klawisze fortepianu i zgrabnie skacząc po nich, wykonała znaną melodję:

— Siadł kotek na płotek . . .

— Cha-cha-cha! — zanosiły się od śmiechu dzieci. — Nie bardzobyście się cieszyły, gdyby nagle jakiś kotek tu się zjawił!

— Hop! — przerwał clown muzyczne popisy myszki. — Na ziemię, drobiazgu, na ziemię!

Biała zgraja, niby kulki waty, potoczyła się i spadła na piasek.

Na stole pozostało zaledwie kilka szczurów i pięć białych myszek.

Clown uderzył trzcinką po stole. Myszki pobiegły i ukryły się w tekturowym domku.

— Proszę o ciszę! — zawołał clown.

Muzyka umilkła i cała publiczność zatamowała oddech.

Wszyscy zrozumieli, że zbliża się jakiś dramatyczny, porywający moment.

Istotnie po chwili rozległ się pisk, myszy zaczęły wypadać z domku, jak szalone, miotać się na wszystkie strony, skakać jedna przez drugą w największym popłochu.

Widzowie nie rozumieli jeszcze, co się stało, gdy raptownie buchnął dym; płomienie, wyrywając się z okien domku, ogarniały go coraz bardziej.



Gorąco przyjmowano Reginkę, wykonywującą trudne skoki na koniu
(str. 124)

Rozległa się trąbka, na której clown wygrywał sygnały.

Szczury zerwały się z miejsca, zaczęły popychać pompkę do tekturowej ściany i polewać ją wodą. Domek płonął, jak świeca, syczała woda, piszczały szczury, miotały się, czyniąc zgiełk, małe, białe myszki.

Clown znowu gwizdnął i zrzucił palącą się tekturę na piasek. Słudzy zagasili resztki domku.

Na dźwięk fletu, biała rzesza szczurów i myszy wdrapała się na rampę, otaczającą arenę, i sprawnym szykiem przemaszerowała przed zachwyconymi widzami.

Przedstawienie zakończyło dwuch dziarskich jeźdźców na nieosiodłanych koniach; zwinny chłopak w stroju indjanina i ryczący w niebogłosy, czarny, kosmaty Miś.

Publiczność, oklaskując artystów, z żalem opuszczała cyrk.

Do Pawła Romy zbliżył się dyrektor gimnazjum i solennie przyrzekł, że będzie nalegał, aby władze sprowadziły zwierzyniec i cały zespół artystów do dużego miasta.

Paweł Roma uprzejmie odprowadzał publiczność, która dziękowała mu za piękne opowiadanie o zwierzętach i za niezmiernie interesujące i wesołe przedstawienie.

Dyrektor cyrku, rozpromieniony i uradowany, kłaniał się na wszystkie strony i mocno potrząsał wyciągające się ku niemu dłonie.

Był zadowolony z publiczności, z siebie, z artystów dwu- i czworonożnych.

Żako krzyczał zdaleka:

— Wujku Pawle, jak się masz?! Hallo! Hallo!

ROZDZIAŁ ÓSMY

BUNT.

— Nie rozumiem, co się z niemi stało? — pytał służby Paweł Roma, gdy po południowym zwiedzaniu zwierzyńca publiczność opuściła długą szopę z klatkami.

Istotnie trudno było nie zadać tego pytania!

Właściwie zaczęło się to jeszcze podczas przedstawienia, bo dyrektor, przyglądając się robocie swoich artystów, słyszał ciężkie, chrapliwe westchnienia Cezara, przeciągłe miauczenie tygrysa i jakieś dziwne odgłosy innych zwierząt i ptaków.

Gdy Roma wszedł po przedstawieniu do szopy, — zdumiał się.

Zwykle spokojni lub obojętni mieszkańcy klatek zdradzali dziwne podniecenie.

Właściciel zwierzyńca znał swoich więźniów, więc w mig zrozumiał, kto rozpoczął ten hałas i zgiełk.

— Któż inny, jeżeli nie Cezar?! — pomyślał Roma, rzucając spojrzenie w stronę klatki lwa.

Płowy władca pustyni stał przed kratą i w jakiemś zapamiętaniu, przymknąwszy oczy i najeżywszy grzywiasty kark, wyrzucał z potężnej piersi ponure westchnienia.

Wzdychał i chrapał tak długo, aż odpowiadać mu zaczęły jękliwe zawodzenia wilka i rysia, chichot hieny, warczenie brytanów, pomruk dużego, dzikiego jeszcze niedźwiedzia, dopiero przed tygodniem nabytego u górali, i zgrzyt kłów Rudego Pana.

Paweł Roma rozejrzał się po szopie.

Wszystko, co żyło, poruszało się niespokojnie, wydawało głosy złe, wzburzone.

Nawet drobne ptaszki — kardynały, elfy i inseparable — miotały się w swoich klatkach, krzycząc i piszcząc przeraźliwie. Jazgotały i skakały w szalonych susach małpki; zadarłszy głowę, trąbił ochryple Gogo; gęgały gęsi, dziki wydawały gniewne sapanie i kwiki; nawet Żako nic nie gadał, lecz, machając krótkiemi skrzydłami, skrzeczał przeraźliwie.

Dyrektor zamyślił się nad tem, co się też stać mogło w półciemnej szopie, lecz nie spostrzegł nic nadzwyczajnego.

A tymczasem działo się tu coś bardzo zwykłego, a zarazem groźnego i wspaniałego.

Przez szczeliny naprędce skleconego dachu i przez otwory w ścianach zwierzyńca wrywały się złociste promienie słońca. Jedne z nich tworzyły okrągłe plamy świetlne na ziemi i na deskach klatek, inne zapalały złote, zielone i rubinowe ogniki w oczach uwięzionych zwierząt i ptaków; światełka chyże ślizgały się powoli po ciałach pręgowatych, centkowanych, burych lub okrytych barwnemi piórami, jakgdyby usiłując wypalić na nich ślad ognisty, nigdy się nie gojący . . .

Chwilami promienie przygasały, a wtedy zalatywał świeży podmuch zrywającego się wiatru i dochodził głuchy pomruk dalekiej burzy.

Roma wyjrzał przez drzwi.

Od wschodu nadciągała ciemna, ciężka chmura; na skraju jej kurzyły się rozwichrzone, drobne obłoczki, mknące pod smaganiem wiatru, szalejącego wysoko nad ziemią.

Stojący na dworze „Gustaw“ uszy raz po raz podnosił trwożnie, węszył głośno i przestępował z nogi na nogę, potrząsając brzęczącym łańcuchem. Wreszcie wyciągnął trąbę i wydał głuchy ryk, niby ostrzeżenie lub pobudkę nieznaną.

Jęknął wielbłąd, przymykając męczeńskie, pełne rozpaczy oczy, chrapy zacisnął i zwrócił się tyłem do nadążającej burzy.

— Zbiera się na deszcz . . . — mruknął Roma. — Na licho to się zdało! Jeszcze, nie daj Boże, będziemy zmuszeni zaniechać wieczornego przedstawienia! . . .

Paweł Roma myślał w tej chwili o sobie, żonie i małej Regince, których los zależał od stanu kasy wędrownego zwierzyńca i cyrku.

O lwie, Gustawie, Bengalu, małej złocistej małpce i innych żywych istotach, należących do niego, nie myślał w tej chwili chudy, jak tyka, dyrektor.

Nie mógł więc zrozumieć, dlaczego one jęczały, wzdychały i miotały się rozpaczliwie.

Jakiś uczony profesor opowiadał kiedyś Romie, dlaczego dzikie zwierzęta, żyjące na wol-

ności, boją się człowieka, lecz nic nie mówił o tem, kiedy najnieznośniej i najdotkliwiej czują uwięzione przez człowieka istoty tęsknotę niewypowiedzianą za swobodą, za ojczyzną, na zawsze utraconą? . . .

Przychodzi ona najczęściej wtedy, gdy mrok i cisza panuje niepodzielnie w zwierzyńcu i, sącząc się przez mocne kraty żelazne, przynosi w swoich czarnych, nieruchomych zwojach bolesne wspomnienia, widma dni minionych, do których niema powrotu.

Jest to tęsknota dławiąca, ciężka i gryząca. Gdyby zwierzęta i ptaki mogły płakać, — ich szloch i jęki rozpaczliwe przeraziłyby tłum wesołych, ciekawych widzów.

W godzinę zrywającego się, wyjącego wichru, ryku grzmotów, huku piorunów i plusku ulewy z nieznanych nikomu skrytek wypływają niezatarte niewolą i cierpieniem wspomnienia, budzą tęsknotę, co rozpala nienawiść dla ciemiężców-ludzi.

Dlatego nieraz bywa, że pies pokojowy staje się chmurnym, jak niebo jesienne, zimnym, obo-

jętnym, a nawet złym. Nie łasi się więcej, nie słucha rozkazów swego pana, warczy i odchodzi z ponuro podwiniętym ogonem, zapatrzony w widma setek pokoleń przodków, nigdy nie noszących kagańca i nie dzwoniących łańcuchem.

Łagodne, pieszczotliwe kotki nie idą na wołanie człowieka i starają się wymknąć z pokoju, aby w ciszy i skupieniu ujrzeć we mgle utajoną knieję i stepy, gdzie pędzą inne życie nieujarzmione, drobne drapieżniki.

Jeszcze wymowniej i potężniej przemawia natura swemi głosami wielorakiemi do lwa, orła, tygrysa, wilka, kuny i rysia!

W tych głosach słyszą one nieznany zew, wszechsilne napomnienie, wyrzut i gorące hasła buntu.

— Wolność... Walka... Wolność... Walka! — ryczy grzmiącym głosem przewalająca się nad ziemią burza.

Tego nie słyszał Paweł Roma, więc w zdumieniu chodził po półciemnej szopie i spoglądał na niespokojne, miotające się, wzburzone zwierzęta — duże i małe, na ptaki zwyczajne, znane

i te, które przebyły ocean, aby dotrzeć wkońcu do ciasnych, brudnych klatek drewnianych, do cuchnącej budy „znakomitego zwierzyńca“ Pawła Romy, skąd już dla nich nie było wyjścia aż do końca istnienia na tej ziemi, pełnej niespodzianek radosnych lub tragicznych.

Na chwilę jedną mignęło coś mu w głowie. Jakieś myśli, czy wspomnienia?

Wzrok jego padł na orła.

Królewski ptak, skamieniały, majestatyczny, podniósł głowę i bystre, władne oczy wparł w szeroką szczelinę dachu.

Widział niebo, głębokie, przesiąknięte blaskiem; wyczuwał w niem walkę ciepłych, złotych promieni słonecznych z wsiąkającemi w szafir otchłanny zwałami oparów białych i szarych, skotłowanych, poszarpanych chłoszczącym je wichrem.

Być może, zoczył gdzieś na wysokości niedostępnej innym istotom, orła lub sokoła, który, rozradowany dziką radością, spotykał, rozpostarłszy skrzydła mocarne, nadlatującą burzę, aby zmierzyć się z nią, poznać wielkie, bezmierne szczęście poczucia własnych sił, swobody i odwagi.

Być może . . .

Orzeł nagle wyprężył szyję i, rozdymając gardziel, wydał przenikliwe, ostre kwilenie.

Roma drgnął.

Wydało mu się, że wyraźnie usłyszał namiętne, niecierpliwe wołanie:

— Wolność! Wolność!

Przystanął koło klatki orła i patrzył na niego w zdumieniu.

Ptak siedział już nieruchomo i nie odzywał się więcej.

Zato coraz częściej i coraz chrapliwiej wzdychał lew; drobnym kłusem biegał Bengal, podnosił głowę wysoko i miauczał ponuro; strzygąc uszami, wściekle syczał ryś; wyły brytany zaniepokojone; mruczał i krążył po klatce nieoswojony niedźwiedź, a inne odpowiadały mu głośnem prychaniem; trąbił żóraw; gęgały gęsi; świergotały zaciekle i trwożnie ptaszęta barwne; skrzeczały arary i Żako; jazgotały małpki, tłocząc się w nieładzie; orangutan przerwał swoje pomruki i zgrzyt zębów, schwycił długiemi dłońmi żelazną sztabę, zamykającą wejście do

klatki, trząsł ją i szarpał, usiłując zerwać lub złamać.

— Piekło prawdziwe! — krzyknął Roma. — Chłopcy dajcie zwierzętom ich porcje!

Wkrótce w ciemnej szopie znacznie się uciszyło.

Rozległy się teraz inne odgłosy: mlaskanie warg, trzask rozgryzanych kości, ciężki oddech, sapanie, stukot dziobów o blaszane korytka z ziarnem, kłótliwe okrzyki małp, ciche mruczenie, plusk wody...

Z głośnym szmerem spadło na deski dachu kilka dużych kropel deszczu.

Wionął raz jeszcze silniejszy podmuch wiatru.

Z głuchym warkotem potoczył się grzmot.

Nadbiegł jednak zdaleka... Burza ominęła miasteczko, gdzie na rynku stała szopa i bielał namiot zwierzyńca Pawła Romy.

Wysoki i chudy, jak tyka, dyrektor mówił do clowna Lusia:

— No, tom miał strachu, że deszcz przeszkodzi nam! Teraz wszystko dobrze — damy przedstawienie!...

Pocierał ręce i uśmiechał się radośnie, bo spostrzegł, że do miasteczka zjechało dużo publiczności z sąsiednich i dalszych okolic, a ulicą, prowadzącą do dworca, szedł spory tłum, przybyły wieczornym pociągiem.

— Marjo! — zawołał. — Siadaj już przy kasie. Będziemy dziś mieli znowu komplet!

Odszedł od clowna i nabożnie przeżegnał się, szepcąc modlitwę.

Z szopy doszedł zły, urągliwy chichot hieny...

Cały zespół przygotowywał się już do przedstawienia.

Przyczepiano postronki do klatek lwa i tygrysa; zapędzano Stellę do długiej skrzyni; drucianemi szczotkami czesano kudły niedźwiedzi i czarnych brytanów; odcierano pumeksem kły i paznogcie Gustawowi; za parawanem szminkowali się i nakładali stroje cyrkowi artyści. W preciwległym końcu szopy, ukryte za klatkami, przebierały się Marja Roma i Reginka.

Sam dyrektor zapalał już lampy acetylenowe w cyrku i sprawdzał, czy sprawnie ślizgały się w blokach linki trapezów i grube sznury, pod-

trzymające siatkę, którą otaczano arenę podczas występów dzikich zwierząt.

O godzinie 8-ej rozległ się dzwonek przy szopie, a po nim trąby, flety i duży bęben, na których grało kilku chłopaków w barwnych strojach heroldów.

Publiczność zaczęła zajmować miejsca na ławach i krzesłach.

Upłynął jeszcze kwadrans. Zagrała orkiestra i rozpoczęło się przedstawienie.

W pierwszej części, w numerze końcowym wystąpiła Marja Roma z Cezarem.

Zachowanie się lwa odrazu zmusiło Pawła Romę do szczególnej baczności.

Płowy, grzywiasty drapieżnik długo nie chciał wyjść z klatki, aby wązkiem, zakratowanem przejściem dostać się na arenę.

Musiano wypłoszyć Cezara, wsuwając do klatki zapaloną pochodnię.

Z rykiem wybiegł i, nie zatrzymując się wcale, pomknął na arenę, jak burza, chłoszcząc się po bokach ogonem i rycząc z wściekłością.

Cezar obiegł klatkę z siatki, jakgdyby szukając

miejsca, w którem mógłby się przerwać i runąć na publiczność.

Z rozwianą, nastroszoną grzywą i rozwartą paszczą spoglądał na siedzących dokoła ludzi pałającemi, pełnemi nienawiści oczami.

Miał tak groźny wygląd, że widzowie, znajdujący się w pierwszych rzędach, śpiesznie opuścili swoje miejsca.

Lew zdawał się nie spostrzegać stojącej przy wejściu do klatki pogromczyni w połyskliwej szacie ze złotych łusek.

— Allez, allez, Cezar... ho!... ho!... ho!... — przemawiał do zwierza pojednawczym głosem dyrektor, wysuwając naprzód ostre, stalowe widełki i zaciskając w ręku bat z grubego rzemienia i wplecionych w niego kulek żelaznych.

Lew szczerzył straszliwe kły i szarpał mocne sznury klatki.

Marja Roma gwizdnęła i do klatki wpadły ze szczekaniem czarne brytany.

Cezar odrazu umilknął i przysiadł, skamieniały, w postawie, gotowej do skoku.

— Allez... Allez! — krzyknęła Marja Roma i klasnęła biczem.

Lew skurczył się i wskoczył na wysoki taburet, lecz w tejże chwili runął z niego, wpadł na brytana, jednym uderzeniem łapy zmiażdżył mu grzbiet i z rykiem grzmiącym zaczął miotać się po arenie, rozrzucając piasek, obalając płotki i wysokie, ciężkie stołki.

— Do drzwi! Do drzwi! — krzyknął dyrektor do pobladłej żony.

Słudzy szybko uchylili żelazną furtkę w klatce. Marja Roma jednym skokiem wybiegła z areny.

— Dość! Dość! — wołała publiczność.

Paweł Roma podniósł rękę i krzyknął:

— Panie i panowie! Nie mogę spełnić waszego żądania! Pogromca powinien zmusić lwa do posłuszeństwa, bo, jeżeli nie ugnie go przed swoją wolą, zwierz nigdy już nie wykona rozkazu! Ja sam dokończę przedstawienia z Cezarem!

To mówiąc, szybko wszedł do klatki, gdzie szalał lew. Do nóg pogromcy natychmiast przycisnął się wylękły, drżący brytan.

Paweł Roma podniósł straszliwy bat, ustawił taburety i rzekł twardym głosem, nie spuszczając wzroku z oczu lwa:

— Cezar, hop! Allez!

Lew nie usłuchał pogromcy.

Nielitościwy cios ze świstem spadł mu na kark.

Twardy rzemień opasał chude boki zwierza.

Cezar przysiadł i natychmiast skoczył naprzód, szczerząc kły i rycząc.

Nowy świszczący, rozpruwający skórę cios i błysk wysuniętych naprzód, jak ostre żądło, widełek stalowych, uderzających w potworne kły.

— Allez! Hop!

Jeszcze raz rozdarł powietrze rozpaczliwy ryk Cezara, jeszcze raz gwizdnął w powietrzu ciężki rzemień z żelaznemi kulkami, pozostawiając na bokach zwierza krwawą bliznę i wyrywając szerść.

— Allez! Allez!

Lew, słaniający się na nogach, oszalały z wściekłości, wskoczył na taburet, chrapliwie



Tygrys, uczyniwszy olbrzymi skok, stanął na wąskiem siedzeniu taburetu (str. 149)

oddychając i rycząc urywanym głosem, w którym już brzmiały nuty bólu i strachu przed człowiekiem.

— Hop! Hop! — zawołał Paweł Roma, odchylając się w zamachu.

Nie ciął jednak, bo Cezar przeskoczył raz po raz na pięć taburetów, przetoczył ciężką kulę, przesadził kilka płotków, wgramolił się na pobieloną kredą beczkę i, przebierając łapami, przejechał się na niej przez arenę. Gdy zeskoczył, na białej powierzchni beczki widniały krople krwi, spływającej z poranionych boków.

Umilkła orkiestra. Paweł Roma, podnosząc bat, rzucił rozkaz:

— Cezar, siadać! Siadać!

Pogromca odrzucił wtył ramię, aby wymierzyć lwu nowy cios, lecz Cezar z jękiem i chrapaniem ciężkim usiadł, kurcząc paszczę i przyciskając uszy do grzywiastej głowy.

— Spokojnie! Spokojnie! — przemawiał Roma, zbliżając się do lwa.

Stanął obok niego, dotykając rozwartej paszczy ostrzem widełek, i położył mu dłoń na grzywie.

Rozległy się oklaski i krzyki „brawo".

Chudy Roma odskoczył od poskromionego zwierza i klasnął batem w piasek.

— Allez, Cezar! Allez! — rzekł basowym głosem.

Lew z nisko opuszczoną głową i bezsilnie wlokącym się ogonem wybiegł z areny, znikając za kotarą.

Zerwała się burza oklasków i okrzyków.

— Co za odwaga! — wołali widzowie.

— Bohater!...

— Taki chudy, a jaki silny! Widzieliście, że batem przeciął skórę temu potworowi?

— Czy spostrzegliście wzrok jego? Prawdziwy pogromca!

Publiczność zachwycała się człowiekiem z batem i ostremi widłami, nie szczędziła mu pochwał, lecz w całym cyrku nikt nie pomyślał o tem, na co się zdało to katowanie wolnego, potężnego zwierza; nikt nie wiedział, że poraniony Cezar, wszedłszy do klatki, z jękiem rozpaczliwym runął na deski i leżał, dysząc chrapliwie.

Po przerwie popisywały się niedźwiedzie.

Tego wieczora nie były zbytnio posłuszne. Nie chciały tańczyć charlestona i nosić kubłów z wodą.

Marja Roma coraz częściej śmigała batem po mruczących łbach, a niedźwiedzie warczały i błyskały złemi, nalanemi krwią oczkami.

Nawet Stella z żółtą kokardą na szyi okazała się niesforną. Odmówiła posłuszeństwa clownowi Lusiowi i ani razu nie odrzuciła pyszczkiem piłki.

Luś był zmuszony przerwać swój numer, oznajmiając publiczności, że Stella jest niedysponowana, albowiem otrzymała od swego brata z Oceanu Lodowatego smutną wiadomość o chorobie dziadka — starego, siwego morsa.

Publiczność się śmiała wesoło, a foka, przewalając się niezgrabnie, uciekła z areny, poszczekując głucho.

Wreszcie przyszła kolej na ostatni, szczególnie reklamowany numer.

W programach stało:

„Najmłodsza na świecie pogromczyni, mała „miss Regina“ z ogromnym tygrysem Bengalem! Niewidziana nigdy atrakcja!! Wszechświatowy,

niebywały sukces!!! Miss Regina i pręgowany, drapieżny tygrys bengalski!!!! Sensacja! Sensacja!! Sensacja!!!".

Zaczęły się wzbudzające zainteresowanie publiczności przygotowania, coraz bardziej podniecające ciekawość widzów.

Sam dyrektor w towarzystwie trzech artystów w czerwonych frakach uważnie oglądał sznury klatki, drzwiczki, umocowane w jednej jej ścianie; Luś przyniósł duże koło z trzciny, owinięte pakułami, zawiesił przy wejściu rewolwer i uważnie obrzucił wzrokiem całą arenę.

— Muzyka! — skinął ręką dyrektor w stronę orkiestry.

Do klatki tanecznym krokiem wbiegła Reginka w stroju arlekina, a za nią na tylnych łapach stąpał czarny Miś, zerkając na wszystkie strony. Dziewczynka trzymała w ręku ostre widełki i długą szpicrutę.

Mała dziewczynka stanęła naprzeciw okratowanego przejścia, mając tuż za sobą Misia; niedźwiadek zdradzał niepokój, kręcił kosmatym łbem i prychnął gniewnie.

Kotara poruszyła się zlekka i z jej zwojów wysunęła się potworna głowa tygrysa. Strzygł uszami i rozdymał chrapy, ze świstem wciągając powietrze. Po chwili zmarszczył paszczę i błysnął kłami. Czając się i co chwila przypadając do ziemi, skradał się, nie spuszczając żółtych połyskujących ślepi z dziewczynki.

Wreszcie doszedł do areny, jednym skokiem umknął nabok i znowu się zaczaił, wyprężony, groźny, gotowy do skoku.

— Hallo! Hallo! — rozległ się cieniutki, spokojny głos Reginki. Uderzyła szpicrutą po taburecie i krzyknęła:

— Bengal, hop!

Tygrys nagle skoczył. Widzom zdawało się, że to jakiś ogromny ptak zawisł w powietrzu. Drapieżny kot, uczyniwszy olbrzymi skok, stanął na wąskiem siedzeniu taburetu i, rozwarłszy paszczę, syczał.

— Ho . . . ho . . . ho! . . . Spokojnie . . . spokojnie! . . . — mówiła dziewczynka, rozstawiając inne stołki na arenie. — No, dalej! Hop!

Bengal chrapnął i zaczął drapać taburet, odłupując od niego drzazgi.

— Hop! — powtórzyła dziewczynka, wymachując szpicrutą.

Tygrys ryczał jękliwie i szarpał deskę. Po chwili przysiadł, podniósł ogromną łapę z rozstawionemi pazurami i chciał dosięgnąć nią Reginkę, lecz uprzedził go Miś.

Skradł się ztyłu i nagle uderzył tygrysa w wygięty grzbiet.

Przerażony Bengal zaczął skakać z taburetu na taburet, przy ciągłych okrzykach dziewczynki:

— Hop! Hop! Hop!

Na czwartym stołku zatrzymał się i usiadł.

Straszliwy zwierz chrapał i oblizywał się co chwila długim, czerwonym językiem, dysząc ciężko.

Reginka śmiałym krokiem stanęła przed nim i podniosła koło, owinięte pakułami i zaklejone cienką bibułą.

Znowu umilkła orkiestra i zapanowała cisza.

— Bengal!... — doszedł twardy, spokojny głos małej pogromczyni. — Raz, dwa...

Wyżej podniosło się koło i padła rozkazująca, głośna komenda:

— Bengal!... Trzy!

Dziewczynka nacisnęła jakąś sprężynkę, ukrytą pod papierem. Coś zasyczało i posypały się iskry. Płomień ogarnął pakuły.

Tygrys miał skoczyć przez ogniste koło.

Dzikie zwierzęta boją się ognia i zdaleka obchodzą go, teraz najdziksze z nich musiało rzucić się do płomieni, spełniając rozkaz swego najstraszliwszego wroga — człowieka.

Bengal przysiadł, drżał, chrapliwie syczał, tulił uszy, lecz nie ruszał się z miejsca.

— Hop! Hop! — wołała dziewczynka.

Znowu przyszedł z pomocą Miś mały, kosmaty, wierny. Nowy cios, zadany mocną łapą, zmusił tygrysa do skoku.

Długie, zwinne, pręgowane ciało przemknęło jak strzała przez palącą się bibułę i przywarło do ziemi z przyciśniętemi do czaszki uszami.

— Allez! Allez! — krzyknęła dziewczynka, zaganiając zwierza za kotarę.

Tygrys nie ruszał się z miejsca, wbiwszy żółte ślepia w małego, wiotkiego arlekina.

Marszczyła mu się wściekle paszcza, błyszczały żółte kły, pazury wpijały się w piasek, drgała skóra na bokach, a całe ciało prężyło się do skoku.

Z krzykiem biegła ku klatce blada Marja Roma, a dyrektor wyciągnął z pochwy duży rewolwer.

Wprawnem okiem ocenił groźną sytuację.

Nie wątpił, że Bengal lada chwila skoczy na Reginkę. Wiedział, że nie obronią ją stalowe widełki.

Tygrys jednak, widząc Misia, przed którym czuł niepojęty strach, jeszcze nie odważał się napadać.

Paweł Roma rozumiał, że teraz wszystko zależało od niedźwiedzia. Jeżeli nagle odbiegnie od dziewczynki, tygrys natychmiast runie na nią.

W okamgnieniu wszystko to ogarnął myślą doświadczony pogromca.

Zdławionym głosem krzyknął:

— Reginko, latarkę do rąk! Chłopcy, zgasić światło!

Z sykiem zgasły cztery duże lampy. W półmroku nagle błysnęła silna latarka w ręku dziewczynki, a wązki snop promieni oślepił i przeraził zwierza. Tygrys, drżąc i jeżąc szerść na karku, cofał się.

— Zapalić światło! Migiem! Migiem! — wołał Paweł Roma.

Lampy znowu rozświetliły cyrk.

Wszyscy ujrzeli Bengala, czołgającego się w przerażeniu po arenie.

— Allez! Allez! — krzyknęła Reginka, a dyrektor zaczął strzelać z rewolweru, jeszcze bardziej strasząc tygrysa, który już biegł ku przejściu za kotarę.

Trudno byłoby opisać co się działo potem w cyrku.

Publiczność zerwała siatkę i na rękach wyniosła odważną dziewczynkę, całując ją, nazywając pieszczotliwemi imionami, obdarzając pieniędzmi, łakociami, owocami. Pani doktorowa oddała jej nawet swoją bransoletkę ze złotym zegarkiem... Wszyscy rozumieli, że takiego

widowiska już nigdy w życiu mieć nie będą. Byli podnieceni i zachwyceni.

I znowu nikt nie pomyślał o tem, poco ludzie stawiają na kartę swoje życie i życie ukochanych istot, poco zmuszają zwierzęta do niewłaściwych, przeciwnych ich naturze czynności?

Jeżeliby zapytano o to widzów w cyrku, odpowiedzieliby niezawodnie:

— Dla pieniędzy, mój panie, dla naszej rozrywki!

Lecz czyż pieniądz jest takim skarbem, żeby dla niego szafować życiem ludzi?

Czyż rozrywka i zabawa tłuma warte są tego, aby pozbawione wolności zwierzęta, dręczone i zniewalane do rzeczy, dla nich obcych i niezrozumiałych, mogły pozbawić życia swoich dręczycieli i ciemiężców, zabawiajacych szanowną publiczność?

W „znakomitym zwierzyńcu Pawła Romy“ skończyły się piękne przedstawienia, lecz nikt oprócz pogromców, nie wiedział, że tego wieczora, śmierć stała przy rampie areny i czekała zimna, obojętna, prawie pewna łupu.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

PIEŚŃ ORŁA.

Po uprzątnięciu cyrku Paweł Roma wszedł do zwierzyńca i zajrzał do każdej klatki.

Wszystko było w porządku.

Zatrzymał się wreszcie przed lwem i stał długo.

Człowiek i zwierz wbili w siebie źrenice i porozumiewali się w milczeniu niemal strasznem.

Cezar miotał z głębi żółtych ślepi swoich płomienie wściekłości i nienawiści, a w jego świszczącym oddechu brzmiała pogróżka.

Zdawało się, że szepce zawzięcie i przenikliwie:

— Poddałem się dziś tobie po raz ostatni! Po raz ostatni . . .

Oczy człowieka odpowiedziały mu natychmiast:

— Poddasz mi się, ulegniesz mojej woli jutro, pojutrze i zawsze, dopóki żyć będziesz . . . Poddasz się!

Znowu mierzyli się wzrokiem, nie mrużąc powiek i prawie nie oddychając.

Wreszcie Cezar zamknął znużone oczy i odszedł od kraty, marszcząc paszczę.

Pogromca spostrzegł trzy krwawe pręgi na grzbiecie i bokach lwa. Uśmiechnął się pogardliwie i powtórzył:

— Poddasz się!

Skierował się do klatki orła i ze zdumieniem przyjrzał mu się.

Ogromny, czarny, jakgdyby z bryły bazaltu wykuty ptak nie spał. Dumne, jarzące się oczy błyskały mu krwawo.

Paweł Roma spostrzegł, że pokarm leżał nietknięty. Usiłował ściągnąć na siebie wzrok ptaka, lecz spojrzenie jego było skierowane ponad głowę człowieka, wbite w niewidzialny punkt daleki, porywający.

Dyrektor zwierzyńca wzruszył ramionami i mruknął do siebie:

— Zły jestem, że dałem się namówić na tego ponurego samotnika.

Zapalając fajkę, wyszedł z szopy i zamknął drzwi na zamek.

Przebrzmiały kroki odchodzącego Romy; już tylko zdaleka doszedł jego głos:

— Zwierzęta w porządku. Możesz iść, Lusiu, do zajazdu. O świcie daj Cezarowi świeżego mięsa . . .

W ciemnej szopie zapanowała cisza, jakaś dziwna, zaczajona, niemal przerażająca. Taka sama martwa cisza gnębiąca panuje w mrocznym lesie, pełnym zgrozy i niebezpieczeństwa, zewsząd czyhającego na zbłąkanego w nocy wędrowca.

Skrada się ostrożnie, bojaźliwie wędrowiec samotny, wylękły, nie wiedząc, czy nie uderzy się czołem o pion drzewa, przegradzającego ścieżkę; czy nie potknie się o kamień i nie wpadnie do głębokiego wąwozu, niewidzialnego w ciemności ślepej; czy nie wyjdzie na topielisko, bajorami porosłe i zaciągające w bezdeń, cuchnącą zgnilizną i pleśnią; czy nie wypadnie na niego dziki zwierz, czający się w haszczach czarnych, okiem nie przeniknionych?

Noc ukryła wszystko dokoła w ciemnych zwojach swego płaszcza bezszmernego.

Mrok panował w zwierzyńcu.

Zaturkotał kołatką stróż miejski po raz ostatni i zamilknął.

Widocznie, usiadł gdzieś, wciśnięty w kąt krużganku kościelnego, i zadrzemał, zmorzony snem.

Przez kilka minut nic nie mąciło ciszy nocnej . . .

W mroku poruszył się gwałtownie orzeł. Skrzypnęła gałęź, na której siedział królewski ptak, brzęknęły i zadzwoniły druty klatki, niby struny ogromnej lutni.

Orzeł wzniósł skrzydła czarne, jakgdyby zamierzał zerwać się do lotu, i machać zaczął niemi leniwie a potężnie.

Po całej szopie, do najdalszych zakątków jej, wionął powiew orlich piór.

Orzeł podniósł głowę i, wyginając szyję, rzucił klekot groźny, donośny.

Umilkł, znieruchomiał, skamieniał.

Tylko oczy bystre wpatrywały się w mrok,

ogarniały gorącem spojrzeniem drobne ptaszki uśpione; zwinięte, zagrzebane w pakułach, drżące z zimna małpki; płowe ciało leżącego lwa i świecące oczy rysia . . .

Wszystko dojrzał i zrozumiał wszystko czarny orzeł skamieniały.

Jeszcze raz podniósł skrzydła i wionął niemi, niby odganiając sen i ciszę przytłaczająca.

Nowy powiew, jeszcze bardziej porywany, obudził wszystkie zwierzęta i ptaki.

Podniosły głowy i patrzyły przed siebie w mrok bezdenny.

W chwili tej odbywać się zaczęła największa tajemnica, przez nikogo nie wykryta i nie zrozumiana.

Od ciemnej nieruchomej bryły orła sączyć się zaczęły myśli jego, marzenia i pragnienia, pożądań gorących pełne.

Zapadały one do małych móżdżków i serc drobiazgu latającego, do kudłatych łbów niedźwiedzi, do czaszki Rudego Pana i małpek jazgotliwych, wżerały się w serca lwa i tygrysa, w pierś rysia, hieny i słonia.

Zwierzęta i ptaki bez słów porozumiewały się ze sobą, w milczeniu trwożnem pojmowały nikły błysk myśli, najsłabszy odruch serca.

Czyż nie temi nikomu nieznanemi uczuciami nawołują się ptaki, przecinające ocean powietrzym szlakiem, biegnącym od żółtej smugi Nilu i czerwonawych zarysów piramid aż do pustynnych, dzikich brzegów Oceanu Połnocnego?

Czyż inaczej naradzają się wilki i inne drapieżniki, gdy polują społem, osaczając stado jeleni?

Taką samą tajemniczą mową bezdźwięczną woła z ostępów dżungli dziki bawół — bawolicę, łoś — loszę; jeleń — łanię... Dopiero, gdy czujne, rozdęte chrapy zwierząt pochwycą zapach upragnionej towarzyszki, z gardła samców wydobywa się stłumiony nagłym porywem, szczęśliwy zew.

W ciemnej szopie, przesiąkniętej zaduchem różnych istot, w mroku ciężkim krzyżowały się, padały i brzmiały bez dźwięku myśli nieme, wszystkim jednakowo zrozumiałe, czy to pochwy-

tywał je drobny, niby z kamieni drogich zlepiony brazylijski kolibri-elf, czy też ciężko przestępujący z nogi na nogę, olbrzymi słoń indyjski.

Znowu rozpoczął swój klekot orzeł.

Wydawał głuche, groźne dźwięki, podobne do warkotu i szczęku toczących się kamieni, budzących echo wielogłose w przepaścistych jarach skalnych.

Była to pieśń orła, ponura a potężna.

„Zrodzony na krawędzi podobłocznej gór niebotycznych,
Zimię widziałem pod sobą —
Pławiła się w potokach słońca żółtego,
Spowijały ją płachty mgieł lazurowych.
Gdy na skrzydłach mocarnych wzbijałem się wwyż,
A srebrnych obłoków gromady pierzchały przede mną,
Klekot rzucałem w bezdeń przestworzy — bez lęku!
Byłem w wyżynie nieznanej, przed jasnem słońca obliczem,
Przed tronem Przedwiecznej Istoty, co losy żyjących rozstrzyga,
Ostatnim, najśmielszym, zuchwałym piewcą wolności!
Niczegom nie pragnął; zawiść nie truła serca orlego,
Dla orłów w ich locie zachmurnym tai się radość bytu dumnego,
Bo radość i duma, bo szczęście i siła — w swobodzie!...
Orły więzów nie znoszą, nie znają rabiej pokory! . . .

Dana jest orłom niezłomna moc wyzwolenia!
Nie w szponach tai się ona, nie w dziobie stalowym,
Nie w skrzydłach szerokich, mocarnych...
W pragnieniu, żądnem wolności,—moc ta i to wyzwolenie..."

Przerwał orzeł pieśń swoją i oczy wbił w mrok zaczajony.

Marzył...

Ujrzał orlicę, karmiącą pisklęta w gnieździe i kwilącą łagodnie. Słyszy jej głos orzeł, zataczający szerokie koła nad doliną zieloną i wypatrujący zdobyczy.

Wzrok jego ognisty i ostry przebija snujące pod nim smugi lekkich tumanów górskich, widzi każdy kamień, czarne węże miedz, każdy niemal kłos na łanie pszenicy...

Nagle orzeł zmrużył oczy bystre. Spostrzegł zająca, sunącego po zboczu pagórka, okrytego krzakami.

Machnął raz jeszcze skrzydłami, rozpostartemi szeroko, złożył je, przyciskając do ciała i wysuwając naprzód długie nogi o szponach zakrzywionych.

Pada jak czarny kamień, mknie ku ziemi w pędzie szalonym, ze świstem tnie powietrze piersią szeroką, wpatrzony w zdobycz wzrokiem nieruchomym.

Tuż nad ziemią podnosi skrzydła i rozrzuca je, niby dwa czarne żagle skośne; mknie nad ciężkiemi, chylącemi się kłosami, po których biegną węże fal liljowych; zniża się coraz bardziej i nagłym rzutem, rozpuszczając pióra w ogonie, ciska potężne ciało na mknącego zająca. Zaszumiał nad nim bijącemi w powietrzu skrzydłami, wydał skwir bitewny i spadł...

Jedna chwila walki, głuchy łoskot uderzenia dziobem... Podnoszą się czarne skrzydła, rozcinają powietrze, warczą i szelescą.

Kwili radośnie królewski ptak i zatacza pierwsze szerokie koło, unosząc w szponach zdobycz.

Coraz węższe i bardziej kręte spirale wrzyna w błękit nieba, radując się drapieżnie...

Ciemne kontury gór, wyszczerbione, liszajami okryte skały wierchów...

Zimny powiew wiatru z wąwozów, ukrytych za szczytami gór...

Już słyszy orzeł wołanie samicy. Odpowiada jej kwileniem śmiałem i ciężka opada na krawędź kamiennego spychu, gdzie uwite z gałęzi powikłanych, z suchej trawy, ukryte w niedostępnej samotni, spostrzega gniazdo i witającą go trzepotem skrzydeł i cienkim skwirem orlicę młodą.

Orzeł wydaje klekot głuchy, miłosny i, przewalając się ciężko, podchodzi do gniazda...

Słuchając tej pieśni, rozumieją wspomnienia orła ptaki i drobne zwierzęta w klatkach zwierzyńca i już drżeć zaczynają, gotowe do popłochu i ucieczki zgiełkliwej, lecz znowu brzmi klekot:

— Nie znam napadu dla złości bezmyślnej —
— Nie orli to zwyczaj! Dla życia wolnego zabijam i szarpię,
— Nie dręczę niewolą stworzenia żadnego,
— I walkę przyjmuję radośnie, nie znając podstępu i zdrady!

Umilknął orzeł i, machnąwszy skrzydłami, znieruchomiał, — dumny i groźny.

Długo jednak tłukły się pod ciemnym pułapem i po kątach szopy echa pieśni orlej, a jeszcze

dłużej w mózgach i sercach istot uwięzionych — lęk i tęsknota paląca.

Jad nieznanej goryczy, płomień niejasnych jeszcze, a bolesnych wspomnień, zimny powiew rozpaczy wznieciły dokoła odgłosy pieśni potężnej.

Pierwszy odezwał się wilk.

Stanął w kącie klatki i, wyciągnąwszy szyję, zawył.

Przeciągłe, zawodzące, żałosne było to wycie!

Psy podwórzowe z całego miasteczka ujadać zaczęły wściekle.

Basowe głosy brytanów łańcuchowych łączyły się z cienkiem, do dzwonków natrętnych podobnem szczekaniem małych piesków pokojowych, wylękłych i przerażonych.

Osierocony, czarny brytan cyrkowy warczał i raz po raz przyłączał się do zgiełkowego chóru psiego.

Ponure, prawie siwe, stare wilczysko opowiadało wyciem swoje dawne dzieje:

Trzęsawisko niedostępne, gęste zarośle osiki i wierzb, uroczyszcze bagniste, — tam po raz pierwszy ujrzał wilk promienne słońce . . .

Stara, chuda wilczyca-matka uczyła go podchodzić zające, śpiące na grudzie przy miedzach, i niebaczne kuropatwy, myszkujące w śniegu; skradać się pod płoty zagród chłopskich i porywać psy samotne; śledzić ruchy pastucha; węszyć i wpadać do stada, aby porywać jagnię, pasące się bez dozoru...

Długa to była i zmudna nauka. Pozostały po niej dotąd na skórze wilka, choć sam zestarzał się już i zsiwiał do reszty, ślady karcących go kłów chudej wilczycy.

Przed laty, już podstarzały i tracący szybkość i wytrwałość biegu, jął się złodziejskiego procederu. Chadzał po wsi i do dworów, gdzie po nocach szerzył zniszczenie w kurnikach. Prześcignął w tem nawet lisy rude, strasząc je i odpędzając.

Ludzie ze śladów poznali szkodnika i na ścieżce zastawili nań potrzask, ukryty w śniegu.

Dostał się wilk w żelaza i teraz kuleje, bo mu przebita łapa zrosła się koszlawo, chociaż w niewoli jest mu to obojętne.

Wilk wył, podnosząc głowę coraz wyżej, a w drgających dźwiękach jęczała skarga:

— Starość przyszła... już nie mogłem zwęszyć i podejść zająca... Byłem głodny... Za cóż ludzie pokaleczyli mnie i pozbawili wolności?

Ledwie przebrzmiała ta skarga wilcza, ucishyły się psy w miasteczku.

Usiadły z podniesionemi uszami, czując, że jakieś wspomnienia, zagasłe przed wiekami, odżywają w nich. Skąd przychodziły one — nie wiedziały o tem kundle, brytany, szpice i wyżły... Nigdy nie miały ich przedtem...

Widziały teraz siebie samych z jarzącemi się ślepiami, z powichrzonemi kudłami, z ogonami, opuszczonemi ponuro, z pyskami, węszącemi tuż przy ziemi.

Pędziły, ścigały coś... Ach! To — zgraja wilków, ciągnących zdobytego jelenia... Rzuciły się psy do walki. Liczba zapaśników — jednakowa. Jednak psy wyrwały wrogom zwycięstwo i zdobycz dla siebie... Wilki-silniejsze i większe walczyły bezmyślnie, każdy o siebie samego, nie bacząc na inne. Psy pomagały sobie wzajemnie, drgających dźwiękach jęczała skarga:

wilków . . . Odbiły jelenia i odpędziły przeciwników . . .

Kiedyż — to było? I czy kiedykolwiek było naprawdę?

W zdumieniu wpatrują się kundle, wyżły, jamniki i pudle w sunące przed niemi widma dawnych, niepamiętnych czasów.

Teraz znów inne widzą obrazy.

Z jaskini wychodzi człowiek przygarbiony, obrośnięty grzywą kłaczastych włosów, przykryty skórą niedźwiedzią, przerzuconą przez ramię.

Idzie do lasu, opierając się na ciężkiej maczudze, wysadzanej ostremi krzemieniami.

Zgraja psów otacza go i naciera.

Człowiek opiera się plecami o drzewo i broni się maczugą. Psy padają: jedne — zabite, drugie — ogłuszone. Człowiek związuje je rzemieniami i wlecze do jaskini . . .

— U-u-u-uo! — zawodzi wilk rozpaczliwie, biegając w klatce, z kąta w kąt.

Psy już nie słyszą wycia, budzącego w nich zgrozę. Widzą znowu w marzeniach swoich da-

lekich przodków... Idą już pokornie przy nodze kudłatego człowieka, trzymającego w ręku łuk.

Wchodzą do lasu i, na skinienie jego, rzucają się do gąszczu, węszą, tropią i gonią jelenie, sarny, bawoły, niedźwiedzie.

Człowiek zaczaił się za pniem olbrzymięgo drzewa i wypuszcza w przebiegające zwierzęta strzały z ostremi kamykami na końcach, zabija, oddaje psom część zdobyczy...

Skądże te widma zamierzchłej przeszłości, dawno zapomnianej i obcej?

Co to za psy ogromne, złe, potężne, o wyglądzie przerażającym, straszliwszym od wilka?

Snadź we krwi Żuczków, Forysiów, Wiernych i Burków pozostały okruszyny wspomnień dalekich przodków, — tych, co pędzili wolne życie, uganiając się za zdobyczą i walcząc o nią z innemi drapieżnikami, aż dopóki nie ujarzmił ich człowiek i na zawsze do siebie nie przywiązał strachem czy łagodnością...

Mimowoli uczuły tęsknotę za swobodą bezmierną podwórzowe brytany i nawet małe, wypieszczone pieski pokojowe, skowytać zaczęły

żałośnie, niby uskarżając się i opłakując szczęście wolności, na zawsze utraconej.

Nie trwało to jednak długo.

Psy posłyszały głos nieznanego dotąd zwierza, który odzywać się zaczął zaledwie od dwuch dni. Był to głos obcy dla słuchu psów domowych.

Miauczał Bengal...

Leżał wyciągnięty w klatce. Oczy jego, jak dwie zielone gwiazdy, płonęły w mroku. Trzymał głowę sztywnie i, rozwarłszy paszczę, miauczał ochryple, ciężko, boleśnie.

Przypomniał sobie piękny, radosny dzień.

Całą noc spędził w dżungli. Gonił młodego bawołu; zapędził go wreszcie na piargi, osuwające się ze stromej góry, i tu skoczył mu na grzbiet, łamiąc kręgi.

Syty był potem i zadowolony. Słońce już weszło i posyłało na ziemię ciepłe, radosne promienie.

Tygrys powracał przez haszcze tamaryndowe do swego legowiska.

Wybrał je w niezwykłem miejscu, lecz zato żadne zwierzę dżungli nie miało piękniejszego. W gęstym lesie palmowym i magnoljowym, oplecionym lijanami i bluszczem, tygrys wykrył zwaliska dawnej świątyni, porzuconej od wieków.

Olbrzymie bloki białego kamienia tworzyły mury, frontony i gzymsy, oparte na niskich, grubych kolumnach rzeźbionych.

Dziki, potężny zwierz wiedział, że niegdyś roiło się tu od ludzi; nigdzie coprawda nie zwęszył śladów człowieka, jednak w kilku miejscach znalazł odłamki kości ludzkich i jakieś przedmioty, które same przemawiały za tem, że były dziełem rąk dwunożnego wroga istot wolnych.

Długo badał tygrys zmurszałe, osypujące się rumowiska, zapuszczał się wgłąb zapadającego się gmachu, stąpał bez szmeru w cieniu kolumnady, drzemał czujnie na popękanych płytach dziedzińca, zarosłego tamaryndami, w których szeleściły chyże jaszczurki i węże leniwe.

Wreszcie wybrał najpiękniejsze miejsce.

Po zwałach kamieni, po blokach, toczących się z murów, dotarł do potężnego frontonu, zwisającego nad bramą. Jakieś straszliwe bóstwo o trzech głowach i kilku ramionach wyzierało upiornie ze zmurszałego kamienia; skwarne promienie słońca nie zaglądały tu nigdy.

Tygrys codzienne kładł się tu na zimnych, wilgotnych płytach frontonu i patrzył zachwyconym wzrokiem.

Ruiny starej świątyni stały na szczycie lesistej góry.

Ze swego legowiska pręgowany drapieżnik spoglądał na zielone morze pierzastych palm i połyskujących magnolij, okrytych białemi, wonnemi kwiatami; podniósłszy żółte ślepia, widział lazurowy, falisty grzbiet dalekich gór.

Panowała tu cisza i tylko z pod obłoków spływało kwilenie sępów, lub z cichym szmerem śmigały koralowe i szmaragdowe jaszczurki, kryjąc się pomiędzy palcami boga.

Bengal czuł dobrze, że o to miejsce, na którego widok dreszcz rozkoszy przebiegał mu po grzbiecie, walczyłby ze wszystkiemi potworami

ziemi, nie wyłączając człowieka — bronzowego, czarnego lub białego.

Przeczuwał też pręgowany drapieżnik, że w tem właśnie legowisku ukrytem w cieniu frontonu świątyni zapomnianego bóstwa, miało go spotkać nieznane szczęście...

Nie zawiódł go instynkt...

Bengal przestał miauczeć, wparł oczy w mrok i oddychał chrapliwie.

Widział teraz dżunglę nieprzebytą... Poruszają się cicho gęste zarośla trzcin i na polankę wychodzi zwinna, młoda tygrysica, węszy i, skacząc po kamieniach, pędzi ku niemu, łasi się i miauczy pieszczotliwie...

Zerwał się tygrys ze swego legowiska, chrapy rozwarł, ogonem smagnął się po bokach i skoczył...

W tej chwili, uderzając się o grube pręty klatki, jęknął...

Zarechotały przerażone małpki, zaczęły miotać się w ciemności, jazgocząc przeraźliwie.

Chrapnęły konie i muły, stojące w zagrodzie za szopą, i jęły strzyc uszami niespokojnie.

Jelenie i sarny węszyły głośno i tupały twardemi kopytkami, jakgdyby chciały zerwać się do ucieczki i zaszyć się w haszczach.

Fuknęły trwożnie odyńce i samury, strzygąc uszami.

Posłyszał ryk Bengala „Gustaw", uwiązany koło namiotu.

W tym głosie przemówiła do niego dżungla rodzima.

Wolności nie znał, zrodzony w stadzie oswojonych słoni; pamiętał jednak dżunglę . . .

Przypominał sobie inne czasy, gdy, po ciężkiej pracy wyciągania ugrzęzłych w mule rzecznym belek, zdejmowano z niego chomąto i orczyki i puszczano wolno.

Szedł wtedy do dżungli, tarzał się w bagnie pobliskiem, oganiając się przed bąkami gryzącemi, a potem zrywał młode pędy krzaków, wonne, ledwie rozwinięte listki drzew, dzikie owoce mangustanów i spędzał noc, przysłuchując się głosom, dopływającym leniwie z głębi kniei, gdzie umierały ostatnie szkarłatne promienie zorzy wieczornej.

Spostrzeżono wkrótce, że jest silniejszem od innych zwierzęciem, więc sprzedano go panującemu nad krajem maharadży.

Od tego czasu pracował mało i rzadko.

Nauczono go powolnie i miarowo chodzić, aby nie trząść ustawionym na grzbiecie jego ozdobnym namiotem władcy.

Dwa lub trzy razy do roku, wioząc na sobie maharadżę, wchodził do dżungli, otoczony tłumem bronzowych ludzi, skradających się w milczeniu. Wkrótce jednak pozostawał sam z maharadżą, dwoma strzelcami i „kornakiem“.*)

Słyszał zbliżające się coraz bardziej głosy ludzi, trzask krzaków, zgrzyt piszczałek i warkot bębnów.

Nie rozumiał narazie tego wszystkiego, lecz po chwili wiatr musnął czoło słonia, a wtedy ostrym węchem pochwycił woń niewidzianego dotąd, lecz niewątpliwie niebezpiecznego zwierza.

Zbliżał się on z chwilą każdą, lecz kluczył, czaił się w wysokiej trawie i na polanę nie wychodził.

*) Poganiacz.

Dopiero gdy hałasujący ludzie już nadbiegali, duży pręgowaty kot wypadł z gąszczu, przywarł do ziemi i znieruchomiał, przygotowany do skoku.

Padł strzał, lecz tylko zranił zwierza.

Tygrys skoczył wprost na głowę słonia, raniąc mu trąbę i zrywając szmat skóry ze łba. Napastnik zamierzał wdrapać się na grzbiet jego i stoczyć walkę z ludźmi.

Słoń zrzucił zwierzę na ziemię, gdzie dosięgła go druga kula.

Kilka razy próbował „Gustaw" tego polowania i wciąż rozmyślał nad tem, poco ludzie wyganiają z dżungli pręgowate koty i zabijają je, wystawiając na niebezpieczeństwo siebie i słoni?

Posłyszawszy chrapliwy ryk Bengala, „Gustaw" podniósł wysoko trąbę, nadstawił uszu i oglądał się na wszystkie strony.

Myślał o tem, że niema teraz na grzbiecie maharadży ze strzelcami, więc wypadnie mu walczyć z tygrysem oko w oko w pojedynkę.

Ustawił się mocniej na grubych nogach, zadarł głowę, jak mógł najwyżej, a koniec trąby zwinął w potężną twardą pięść, aby jednym zamachem strzaskać nieprzyjacielowi grzbiet.

Gdy polował na tygrysy koło Benaresu, nie miał do nich wrogości, — odczuwał raczej coś nakształt politowania; teraz, stojąc samotny na uwięzi, słoń nienawidził tego ryczącego i miauczącego drapieżnika.

Przecież on sam nic złego nie zamierzał mu uczynić, pocóż więc tygrys wścieka się i wygraża?

Bengal zacichnął wkrótce.

„Gustaw" węszył jeszcze długo, nieufnie, lecz, przekonawszy się, że nic mu nie grozi, uspokoił się, opuścił trąbę i zmrużył oczy sennie.

Podniósł jednak powieki natychmiast.

Usłyszał i zrozumiał głos innego drapieżnika. Nie bał się go, bo był to zbyt mały, zupełnie dla niego niestraszny wróg.

Parskał i porykiwał ryś.

Opierał się łapami o stojący w klatce odłamek drzewa i drapał go pazurami.

Przed oczami jego mknęły również niezapomniane jeszcze obrazy.

Gęsta knieja północna. Wysokie, rozłożyste drzewa, a na ich grubych konarach centkowany kot, zaczajony, czujnie strzygący czarnemi kitami uszu nadsłuchujących. Wrósł w sękowatą gałęź, wzniósł się nad nią, do potwornej narośli podobny, węszył i cicho prychał, szczerząc kły.

Skrzypi śnieg, stężały na mrozie.

Z lekkim szmerem racic, potrącających kupki suchych liści zeszłorocznych, idą sarny.

Ryś wypręża łapy, odbija się od gałęzi i spada na grzbiet kozła. Ten robi kilka skoków, lecz, brocząc krwią, tryskającą mu ze szyi, potyka się i słania. Drapieżnik, warcząc i mrucząc, szarpie zdobycz, przysłuchując się trzaskowi suchych badyli, tratowanych kopytkami pędzących w popłochu saren.

Ryś wbija mocniej pazury w leżącego przed nim kozła, lecz . . . budzi się, gdy uderzają one w martwe, niepodatne drzewo.

Zwierz przypomina sobie to wszystko i wydaje jękliwe, żałosne zawodzenia, kończące się ponurem:

— O-auu! O-auu!

Znowu drżą i węszą bojaźliwie jelenie, łanie, dziki.

Nawet Gogo coś zmiarkował i, przechyliwszy głowę nabok, zatrąbił ostrzegawczo. Gęsi gęgać zaczęły bezładnie. Wtórowały im jazgotem i skrzeczeniem małpki.

Żako wrzasnął przeraźliwie, a po chwili zaczął powtarzać w kółko:

— Rozkaz, panie generale! Rozkaz, panie generale! Rozkaz, panie generale!

Długo gadała szara papuga, coraz szybciej i bezmyślniej, usiłując przekrzyczeć wszystkie głosy.

Nagle odezwał się Cezar.

Ryknął całą mocą szerokiej piersi.

Grzmiący okrzyk ten padł jak uderzenie pioruna.

Zadrżały ściany szopy.

Śpiący przy drzwiach zwierzyńca stróż poruszył się nagle i zaklął.

Zwierzęta umilkły. Ptaki przycisnęły się do pręcików i drutów, zamarły w oczekiwaniu trwożnem.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

WOLNOŚCI!

Lew, wstrząsnąwszy rykiem cały zwierzyniec, umilkł i długo nadsłuchiwał.

Ciężko, niespokojnie oddychały wylękłe zwierzęta, zastygłe w bezruchu.

W miasteczku ujadały i wyły psy zaniepokojone, zgrozą przejęte.

Znowu turkotała kołatka przebudzonego stróża nocnego, — bezładnie, częstotliwie, jakgdyby spłoszona i zmieszana bezmiernie.

Ucichła wreszcie.

Lew powstał ciężko, oparł łeb o kratę i wbił oczy w mrok.

Nie widział nic przed sobą, ani krwawych, nieruchomych źrenic orła, ani czerwonych i zielonych ślepi, migocących wszędzie, nie słyszał odgłosów trwożnie bijących serc i urwanych, zdławionych lękiem oddechów. Już nie dosięgały go wirujące w ciemności i zaduchu myśli i uczucia

dużych i małych, silnych i słabych zwierząt i ptaków; stały się obce dla niego; jakaś moc potężna wyniosła go na szczyt nieznany, którego dosięgnąć nie mogły nędzne poszepty, podłe pomruki, ohydne zgrzyty ziemi.

Nic nie widział i nie słyszał.

W zbolałem sercu jego pałało jedno nieugaszone żądanie.

Mknęło ono wartkim potokiem, przenikając całą istotę mocarza, odganiając widmo życia, zatrutego poniżeniem i bólem, zabijając pragnienie i głód.

— Wolności! Wolności! — biła piorunami myśl wzburzona.

Lew rzęzi, z trudem prężąc gardziel, wzdycha coraz częściej i głośniej, aż westchnienia te łączą się z nutą przeciągłą, drżącą, jak jęk pękniętego dzwonu.

— Wolności! . . .

Wszystko co zawiera dla niego wolność, ujrzał o tej godzinie ciszy zrozpaczony, pohańbiony, tęskny.

Pustynia, rozpalona słońcem, żółta — tu, czerwona — tam, — styka się woddali z bladem,

znużonem od skwaru niebem... Dokoła — tylko — przestwór, milczenie i on — płowy postrach pustyni — lew.

Szeleści suchy, lotny piasek, staczając się z wydm szarych, jałowych.

Tu i ówdzie przerywa ciszę łoskot kamieni, odrywających się od nagich, zżartych wichrem skał, umierających na pustkowiu martwem.

Biec można w każdą stronę całe dnie, nie spotykając czarnych, dymiących namiotów, gdzie się mieszczą barłogi wrzaskliwych beduinów-koczowników i ich jęczących wielbłądów, osiodłanych, strzeżonych przez zgraję chudych, chyżych psów złośliwych, w biegu doganiających płochliwe gazele, majaczące w zadymce.

Bezkreślna dal i niezmierzony przestwór, niczem nie ograniczony, przez nikogo nie ujarzmiony — ojczyzna lwa.

A w środku jej — on, grzywiasty król i pan — to groźny, rzucający gromy, zamierające w nieznanych wertepach skalnych, to znikający, jak majaczący duch pustyni, gdzie zrasta się z szaremi głazami w jeden zwał, na którym żadna

istota żywa nie dojrzy drgań wyprężonego, płowego ciała.

Małe, czerwone antylopy i duże, z ostremi rogami kamy przechodzą tuż przed zaczajonym królem — widmem.

W jego mocy jest odprowadzić je pogardliwym błyskiem przejmujących zgrozą, żółtych ślepi, czy też skoczyć, zgnieść, zmiażdżyć i poszarpać na strzępy.

Król i pan pustyni! . . .

Gdy wyschną wszystkie źródła, a bagna okryją się twardą skorupą popękanego mułu, opuszcza on pustkowie i zanurza się do haszczy niskorosłej dżungli na południowym skraju pustyni.

Rozłożyste, pokraczne mimozy, o gałęziach, najeżonych kolcami, o korze, spękanej, sączącej lepki sok, krzepnący przejrzystemi soplami, zwikłane zarośla krzaków i kaktusów stanowią tę dżunglę.

W jej niedostępnych gąszczach, gdzie kryją się legowiska lampartów i centkowanych panter rdzawych, w dołach bagnistych pozostała po zimowych ulewach woda.

Tu przychodzą gasić pragnienie antylopy i bawoły, gdy drapieżniki — włóczęgowie nocni, skoro świt, śpią już po barłogach.

W gmatwaninę trzcin i burych, spalonych skwarem traw zapada lew.

Żadne zwierzę nie zwęszy go tu, niczyje oko nie spostrzeże płowo-burego ciała na płowoburej ziemi.

Gdy noc zapadnie, budzi się i wstaje.

Pręży i wygina grzbiet, podnosi głowę, węszy długo.

Wreszcie, zbadawszy wszystko, co się dzieje wokół, wydaje kilkakrotny, groźny ryk, — grzmiący, wszechwładny rozkaz królewski.

Ten okrzyk władcy wyrywa nagle ze snu wszystkie zwierzęta, znużone spiekotą i zdobywaniem pożywienia.

Oszalałe, przerażone, naoślep mkną w popłochu i nieładzie; nieopatrzne, głuche, zdjęte lękiem zbliżają się do lwa i padają w śmiertelnej trwodze, rozdarte potężnemi pazurami.

Przypadają do ziemi drapieżne lamparty, pantery i hieny, czołgają się w największy gąszcz,

aby nie zwęszył ich, nie dojrzał pan i władca pustyni, żądający daniny życia.

Gdy stada rogatych mieszkańców dżungli odkoczują dalej, szukając paszy i wody, lew odbywa daleką włóczęgę i skrada się do „seriby" — zagrody, w której czarni ludzie trzymają bydło domowe.

Przed świtem, gdy wszystko już śpi, i tylko lelki ogoniaste bez szmeru krążą nad obozowiskiem, pada grzmiący ryk. Jednym skokiem przesadza lew zagrodzenie „seriby", porywa krowę i, trzymając ją w paszczy, razem z nią skacze przez płot i znika w ciemności.

Skowyczą psy, ryczy wystraszone bydło, rwą się z uwięzi konie i wielbłądy, przebudzeni ze snu ludzie wybiegają z okrzykami przerażenia:

— *Essed! Essed!*

Istotnie — jest on największym na świecie szerzycielem popłochu i trwogi!

Cezar z dumą potrząsa grzywiastą głową i ciska w przestrzeń nowy ryk.

Arabowie nazywają ten głos bitewny „*raad*", co znaczy „łoskot gromu".

Płyną przed zachwyconym, zamglonym wzrokiem lwa obrazy drogie, rzewne.

Znowu pustynia skwarna i przestwór bezgraniczny.

W legowisku skalnem pędzi on życie przy lwicy, karmiącej małe bezbronne lwiątka...

Pewnego dnia stało się nieszczęście, tak wielkie, że Cezar na wspomnienie o niem jęczeć zaczął chrapliwie, a grzywa mu się podniosła z przerażenia.

Noc już zapadła nad pustynią i nagiemi skałami...

Ociągając się, wychodził lew na łowy.

Szedł dawnym, zwykłym tropem — ścieżką, wydeptaną przez siebie w piasku i drobnych osypach.

Nagle ziemia wyrwała mu się z pod nóg. Lew wpadł do zdradzieckiego dołu. Rozległy się głosy ludzi, zaczajonych wśród kamieni.

Lew skoczył, lecz nie mógł dosięgnąć krawędzi dołu i ciężko opadł na dno, rycząc wściekle.

Na głos jego wybiegła natychmiast lwica, porzucając legowisko.

Skradała się ostrożnie, ledwie widzialna w mroku nocnym. Zwęszyła wrogów i zniknęła za zwałami odłamków skalnych.

Wtedy wyszli ludzie z powrozami i pochodniami dymiącemi.

Przy krwawych błyskach ogni zarzucili pętle na nogi i szyję króla i wywlekli go z jamy.

Spętali go rzemieniami i usiedli dokoła, naradzając się i radując.

Gdy słońce rozproszyło mrok, lew zaczął szarpać więzy, kły szczerzyć i miotać się wściekle.

Nie mógł wszakże zerwać pętów i wtedy zaryczał raz jeszcze...

Zew to był i błaganie uwięzionego króla.

Zaczajona lwica runęła z zasadzki na ludzi zdradliwych, śmignęła wężowym ruchem, przesadziła wysoką skałę... Zaledwie kilka kroków dzieliło ją od niego...

Krótki odgłos strzału smagnął powietrze...

Cezar już nigdy więcej nie zobaczył towarzyszki z legowiska skalnego.

Zawieszono go skrępowanego pomiędzy dwoma wielbłądami i odstawiono do dużej osady, pełnej zgiełku i krzyku.

Tu po raz pierwszy ujrzał białego człowieka. Miał chudą, drapieżną twarz i przerażająco twardy wzrok bladych oczu.

Dotknął ręką grzywy związanego jeńca, a gdy lew targnął gwałtownie głową i zachrapał, człowiek podniósł bat i zaczął siec bezwładne zwierzę po łbie, oczach, bokach i łapach. Krew ściekała na gorący piasek i coraz słabiej ryczał zrozpaczony lew.

Odtąd bał się białego człowieka, a gdy ten wbijał w niego blade oczy, lew pochylał głowę do ziemi, oczy mrużył i odchodził wgłąb klatki, marszcząc paszczę w nienawiści bezsilnej, rabiej.

Cezar przypomniał sobie to wszystko w chwili przepływającego przed jego oczami życia. Rozpacz, wściekłość i pogarda dla siebie wybuchnęły z mocą straszliwą. Bolało go przytem całe ciało. Wiedział, że zaogniły się i płoną niezliczone rany, zadane mu przez różnych pogromców, ludzi o drapieżnych twarzach i nielitościwych, bladych lub czarnych oczach.

Cezar smagał się ogonem po bokach i chrapać zaczął ciężko, jakgdyby nie mógł złapać oddechu.

Umilknął po chwili, oczy rozwarł szeroko, rozrzucając snopy zielonych, mieniących się płomyków i rozdarł powietrze żądnym rykiem rozpaczy ponad siły:

— Wolności! Wolności!...

Znowu zapadła cisza, po tym grzmiącym boleścią okrzyku jeszcze straszniejsza, bardziej złowróżbna, przejmująca zgrozą cierpienia bezmiernego, szlochu niewypłakanego, pożądania nieokiełzanego, silniejszego od śmierci...

Cisza... Mrok... Zaduch... Urwane oddechy syczące...

— Arra-rra grzeczna... arr!... — zgrzytnęła papuga.

— Dureń... dureń! — zaskrzeczał Żako.

— Tfu! — splunął clown Luś, siedzący przy drzwiach. — Obyście powyzdychały, szelmy! Spać nie dają, głupie, cuchnące bydlęta...

Posłyszawszy głos ludzki, Żako odkrzyknął bezmyślnie:

— Na zdrowie! Rozkaz, panie generale! Śmiej się, pajacu! Hehehe... Batem, batem ciebie, mój kochaneczku!... Ho, ho, ho...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

NOC I TĘSKNOTA.

Lew nie odzywał się więcej.

Położył się znużony i wyczerpany bólem i tęsknotą, trapiącą serce, wzburzone niubłaganemi, nielitościwemi wspomnieniami.

Jak gdyby przez sen, w ciężkiem odrętwieniu słuchał odgłosów, rozlegających się w zwierzyńcu, a każdy dźwięk, zrodzony z myśli, pochwytywał natychmiast, niby krzyk najdonośniejszy.

— Tęskno mi... tęskno... knieja, ostępy leśne, pachnące miodem, żywicą i pleśnią butwiejących sosen... Huczenie czmieli, brzęk komarów... skrzek sójki... Barłóg... cisza... — mruczał dziki, nieposkromiony niedźwiedź i twardemi pazurami ze zgrzytem drapał deski skrzyni. — Tęskno mi... ciężko! ...

— Nie znamy kniei... karmią nas ludzie mięsem... Inni obdarzają łakociami... Nie

znamy głodu... — odpowiedziały bez dźwięku niedźwiadki cyrkowe.

— Dureń... dureń, hallo! — wrzeszczał Żako, a milczącą mową zwierzęcą dodał: — Będę jadł cukier i ziarna słonecznikowe... Dobre to!...

Ryś błysnął myślą, niby klingą noża:

— Lepsza jest śmierć!

Nadbiegło inne wspomnienie i pragnienie.

To-małe kolibri żółto-czerwone przemówiło nieuchwytnym szmerem drobnego serduszka.

— Piękny kwiat storczyka nad nieruchomem zwierciadłem jeziora... Słońce i skwar wilgotny... Fruwają wesołe rzesze ptaszków-braci... Zimno mi jest i straszno tu...

Czerwona arara zgrytnęła łańcuszkiem i dorzuciła swoją myśl:

— Gniazdo... małe papużki... ciągle głodne i żarłoczne... Poszum koron drzew wysokich... Strach przed wężem zdradliwym... Dżungla... Dżungla bez końca!

Z przyzwyczajenia wydała okrzyk skrzeczący i wypaliła:

— Arrarra — zuch, zuch, zuch!... Dwa razy dwa...

— Siedem — dokończyła inna.

— Arrarra — bałwan! — zawyrokował Żako, posłyszawszy głos pogardzanych przez niego arar. — Hehehe!

Gogo bezdźwięcznie marzył:

— Jak okiem sięgnąć tylko dal i chmury... Leci klangor żórawi, a za niemi klucz łabędzi srebrnych, trąbiących głucho, stada gęsi czujnych i kaczek zgiełkliwych... Gdzieś, daleko ledwie widzialne przesuwają się góry, lasy... połyskliwe, niebieskie wstęgi rzek... tafle jezior i okiem nieobjęte morze wzburzone... Dążymy posłuszni potężnemu nakazowi na północ... ku brzegom nasępionym groźnego oceanu... Nikłe krzaczki brzeziny... kosodrzewina... cedry, rozpłaszczone na omszałych głazach prastarych.... Plamy śniegu i... zwały, góry lodu wśród wspienionych, ciężkich fal... Dążymy tam... aby wychować nowe pokolenie, dać im hart mocarny i dokonać razem lotu ku słońcu, palmom wysmukłym, żółtej, gorącej strudze rzeki, w której



Orzeł, prężąc szyję i głowę, wydał krótkie kwilenie... (str. 206)

się przeglądają ruiny pałaców i świątyń, a gdzie każda grudka ziemi, każde ziarnko żwiru szepce cudne opowieści, — siwe, jak sowy północne.

— Ga-ga-ga! — gęgnęły gęsi, wyciągając szyje giętkie, i swoje przyłączyły wspomnienia. — W sitowiu na łachach niezliczonych, w haszczach „dumma" żerujemy spokojnie... Nic nie zagraża nam... Chyba że podczołga się krokodyl w pancerzu grzebieniastym, lub sęp znienacka uderzy, spadając z pod bladych obłoków!... Gdy zaszeleści trzcinami zimny goniec północy, odlatujemy śpiesznie, bo woła nas nieznana moc, dająca siły do lotu dalekiego... Ga-ga-ga!

Chichot hieny przerwał gęganie stłumione.

Biegała po klatce, zadzierając głowę, i rzucała swój ponury chichot, złośliwy i urągający:

— Grabarzem byłem zwierzęcych ścierw... Skradałam się za lwem i lampartem, gdy szły na łowy... Wykradałam im zdobycz lub, z głodu wściekła, zwoławszy siostry i braci, zuchwałe napadałam na ucztujących panów dżungli i pustyni... Prawo być sytym przysługuje każdemu!... Hi-hi-hi...

Zadarła krótki, czarny pysk i chichotała urągliwie, szyderczo.

Rechotać poczęły małpki złociste, srebrne, zielone, czarne i babuiny szkaradne.

Nagle minął przestrach i przerażenie.

Rzucały teraz myśli swoje i wspomnienia bezładne, urwane, prześcigając się w krzykach przeraźliwych lub w jękach żałosnych.

— Hej, rozkosznie jest gromadą całą napaść na pole manjoki lub gaj pomarańczowy... — mruczy babuin sędziwy.

— Nigdy już nie ujrzymy gęstych drzew mangowych, brzemiennych w owoce złociste i rumiane... — wzdycha zielona małpka, karmiąca piersią maleństwo drżące. — Słońce, dużo słońca i ciepła... jasne niebo i mrok w ciemnych liściach mangów...

— Spałyśmy na szczytach najwyższych baobabów i mahoniów olbrzymich, a słyszałyśmy daleki bieg wielkiej, płomiennej gwiazdy!... My, zawsze my pierwsze witałyśmy ją!... — krzyknęła rozpaczliwie stara, czarna małpa, okryta długiem, połyskliwem włosiem.

— Zacóż pokarała nas wielka gwiazda płomienna?! — jęknęła druga i, chwytając się za pierś, kaszlała ciężko.

— Rozkoszą było kołysać się na wiotkich, giętkich lijanach i przerzucać się z drzewa na drzewo!... — westchnęła jedwabna małpka, kryjąc zziębnięte rączki w długich, puszystych włosach.

— Och! — żaliła się jej srebrna sąsiadka, — och! Latałyśmy niby ptaki, skacząc w wyżynie i przenosząc się w skwarnym powietrzu nad polanami... Żyliśmy szczęśliwie, bez trosk... wysoko nad ziemią, w obliczu nieba i wielkiej gwiazdy łaskawej!

— Dumne byłyśmy z naszych skoków odważnych, szalonych! A teraz, a teraz?! — zerwał się szloch złocistej małpki, drobnej, kaszlącej bez przerwy.

— Fiu! — gwizdał Żako. — Śmiej się, pajacu... Fajkę, fajkę daj!

— Arrr... zgrzytnęła arara.

— Hallo, błaźnie! — wrzasnął Żako. — Milcz, błaźnie!

— Ledwie, ledwie znaczył się brzask . . . mgła zimna snuła się wśród haszczy . . . mgła dobrodziejska... Ukrywała ona i przynosiła zapachy przeróżne...— miotała się myśl jelenia. — Wychodziłem z ostępu na bagnistą łąkę i czekałem długo . . . Rywale nie śmieli spotkać się ze mną... Straszyły ich ostre gałęzie moich rogów rozłożystych . . . Wtedy ryczeć zaczynałem groźnie, a echo niosło tę surmę bojową, zew bitewny poprzez knieję, aż hen! na daleki, przeciwległy brzeg rzeki . . . Tam przebywał stary mocarz, zwycięzca . . . Przepłynął wartki prąd i przyszedł zmierzyć się ze mną . . . Był to jego ostatni bój . . . Zwalczyłem go! Już nie ujrzał słońca . . . Łanie przyglądały się bitwie . . . Echo niosło daleko szczęk i łomot zderzających się rogów . . .

— Róg tabaki, nos do tabaki, wujku Pawle! — zaskrzeczał Żako i przerwał potok bezdźwięcznych słów jelenia-zwycięzcy.

— Nienawidzę... nienawidzę!... — syknęła kuna.

Coraz nowe potoki myśli i wrażeń napływały zewsząd.

Stella marzyła o zimnem morzu i dużych rybach, ławicami płynących ku brzegom; kardynał wspominał daleką ojczyznę i woń dzikich kwiatów; inseparable, tuląc się do siebie, widziały gęste zarośla, gdzie fruwały bezpiecznie; brytan pożądał ciepłej, tłustej polewki z ochłapów końskiego mięsa; wielbłąd z odrazą myślał, że znowu pójdzie w zaprzęgu; dziki fukały głośno, przypominając sobie żołędzie i jakieś smaczne korzonki, wykopywane ryjami na torfowisku.

Lew leżał i słuchał to wszystko, o czem wołały, marzyły, szeptały serca uwięzionych z nim razem zwierząt i ptaków.

Pozostawał jednak obojętnym na te jęki, skargi, szloch i westchnienia. Były one tak słabe, tak nikłe!

Cóż znaczyć one mogły wobec namiętnej żądzy wolności lwa i orła, dwuch królów, dręczonych tęsknicą?

O, gdyby jakakolwiek istota żyjąca, — czy to człowiek, posiadający wszystkie cechy zwierzęcia, czy zwierz, w którem dotąd nie odnaleziono

przebłysku ducha, — mogła zrozumieć w niezgłębionej tęsknocie swojej takąż otchłań cierpienia w innej, podobnej do niej lub niepodobnej zupełnie, — jakżeby się pokrzepić mogła, jakżeż wzmożyłaby się na siłach w dążeniu do upragnionego celu, jaśniejszego od słońca i droższego nad życie.

Lecz czcze marzenia!

Nie rozumie lew tęskniący całej głębi tęsknoty jelenia.

Orzeł z pogardą spogląda na udrękę żórawia.

Nawet mały, jak kulka złocista, — elf swoją mękę nad tęsknicę orła wynosi...

Tęskniący pozostaje samotnym i słabym w osamotnieniu.

Lew szukał płonących w ciemności krwawych źrenic orła.

Ciągnęło go coś do czarnego, nieruchomego ptaka o potężnej żądzy wolności.

Pogardzał nim, jak wszystkiem żyjącem, co ulegało jego lwiej sile, lecz nie mógł wzroku oderwać od nieruchomych, jarzących się oczu dumnego ptaka.

Ich krwawy błysk przyświecał mu, jak dalekie światełko, zbłąkanemu na pustkowiu wędrowcowi... W skrzących się, niemigających ślepiach orlich widział może ostatnią nadzieję w mroku dziwnej, strasznej, nieskończenie długiej nocy.

Gdzieś w pobliżu zwierzyńca zapiał kogut.

Drugi odpowiedział mu natychmiast z sąsiedniego podwórka.

Po nim trzeci... czwarty...

Ze wszystkich stron dochodziły głosy czujnych ptaków.

Umilkły wreszcie, oznajmiwszy pierwszą godzinę popółnocy...

Stuknął stróż kołatką.

Szczeknął piesek na rynku...

Do ciemnej szopy wpadł słaby przebłysk światła, lecz utonął w mroku tuż przy drzwiach.

Clown Luś, mrucząc i wzdychając, zapalał fajkę...

ROZDZIAŁ DWUNASTY

CZŁOWIEK SIĘ WRYWA...

Ciszę i tajemnicze rozmowy uwięzionych mieszkańców zwierzyńca przerwał dźwięk natrętny, obcy tej nocy męczeńskiej i trwożnej.

Ze zgrzytem, turkotem i gniewnem sapaniem wtoczył się na rynek samochód. Ryczała syrena złośliwie i pałały latarnie, wyrzucając snopy oślepiającego światła.

Samochód biegł przez placyk, z brzękiem i hałasem skacząc po okrągłych kamieniach wyboistego bruku.

Z hukiem pękła opona.

Echo trzasku suchego pobiegło od domu do domu, od wieży ratusza do dzwonnicy kościoła.

Ustał turkot motoru i ryknęła rozpaczliwie syrena.

W tej chwili mijał miasteczko rozpędzony, rozpętany pociąg pośpieszny, wiozący pasażerów z dalekiego świata.

Lokomotywa ryczała i syczała, turkotały koła, wybijając monotonną, warkliwą melodję, dzwoniły łańcuchy spięć.

Zgłuszone potężnym biegiem pociągu, utonęły w huku, szczęku i zgrzytu żelaza wszystkie inne odgłosy.

Wąż oświetlonych wagonów, pędzących naoślep w czarną dal, po chwili gruchotał już daleko.

Znowu rozległy się głosy bliższe, słabsze, a bardziej natrętne.

Szofer klął przez zęby i mówił surowo do pasażerów:

— Proszę wysiadać! Opona pękła, a zapasowej nie mam!

Ktoś odpowiedział mu sennym głosem:

— Trzeba poszukać, może tu się znajdzie . . .

— W takiej dziurze — nowa opona?! — odparł niechętnym głosem szofer. — Musicie panowie pójść do zajazdu. Rano coś obmyślimy . . .

Pasażer nagle wpadł w gniew. Tupiąc nogami, krzyknął:

— Trzeba zawsze brać w drogę zapasową oponę, nicponiu! Od pierwszego wymawiam ci posadę... Mam z tobą ciągłe przygody!

— Ja nie jestem winien, pan się tak śpieszył... — bronił się szofer.

— Maszyna jest poto, aby się śpieszyć! — krzyknął znowu właściciel samochodu. — Obiecałem być o ósmej rano na miejscu. Z pod ziemi wydostań, drabie jeden, oponę, a musisz mnie dowieść na czas! Rozumiesz?!

Rzucił jeszcze kilka wyzwisk i już spokojniejszym głosem dodał, zwracając się do kogoś innego:

— Cóż robić, drogi panie doktorze? Chodźmy przetrącić coś tymczasem...

— Podróż z przygodami! — zaśmiał się doktór. — Możemy sobie przekąsić! Cha-cha-cha!

Głośno rozmawiając, poszli w stronę zajazdu.

Szofer chodził od bramy do bramy, dobijał się do drzwi, kołatał w okiennice szczelnie zamkniętych domków i pytał o oponę.

Obszedł niemal cały rynek i dopiero aptekarz, wysunąwszy się z okna, powiedział mu:

— Do składu spółki rolniczej wczoraj przywieziono nowe opony... Niech tylko pan tam łomocze mocniej, bo stary Roman śpi, jak suseł... Ulica Ratuszowa — na lewo i prosto, pod numerem ósmym, duży szyld...

— Dziękuję! — rzekł uradowany szofer.

Pobiegł do składu; aptekarz, zatrzaskując okno, mruczał:

— Ludziom spać nie dają te warjaty na kołach!... Jabym zabronił nocnej jazdy samochodami. A tu — żadnego zakazu!...

Zegar na ratuszu wybił dwa razy.

Stróż, obudzony rykiem samochodu, zawzięcie machał kołatką i klął pocichu:

— Takie niepokoje, hałasy! Kto to widział, żeby po nocach się tłuc bez potrzeby?! Nieporządek!

Psy, zaniepokojone krokami i głosem obcego człowieka, ujadały i hałaśliwą zgrają chodziły za szoferem, oszczekując go zawzięcie.

Nietoperze przestały latać nad rynkiem i cykały już w ciemnych, bocznych zaułkach, zaglądając na strychy uśpionych domów i do obór.

Na placyk wynurzył się jakiś włęczęga w łachmanach.

Miał bladą, chudą twarz i drapieżne, szeroko rozwarte oczy.

Ręce trzymał ukryte w kieszeniach zniszczonej sukmany.

Skradał się i oglądał podejrzliwie.

Nagle skoczył naprzód, podbiegł do samochodu i, porwawszy walizkę, umknął, znikając w krzywej uliczce.

W zwierzyńcu urągliwie zachichotała hiena.

Pisnęły radośnie i ochoczo białe szczury z drucianej klatki i zgrzytnęły ostremi ząbkami.

Żako natychmiast się odezwał:

— Hehehe, niespodzianka, niespodzianka, fiu!

Szofer powracał, niosąc oponę.

Długo się trudził, podnosząc ciężki wóz lewarem i zdejmując koło; zakładał nową oponę, pompował powietrze i wzdychał ciężko.

Wreszcie skończył i powolnym krokiem poszedł po pasażerów.

Na rynku ucichło ujadanie psów.

Zegar wydzwonił trzy razy.

Wtedy znowu rozległy się głosy nieznajomych, wsiadających do wozu.

— Ruszaj! — krzyknął właściciel samochodu.

Błysnęły ogniste oczy latarń. Wóz drgnął, zaturkotał i zaczął skakać po kamieniach i wądołach.

— Stój! stój! — padł nagle okrzyk zgrozy. — Walizki niema! Gdzie walizka?...

Tupot nóg, bieganina, trzask otwieranych i zamykanych drzwiczek, wykrzykniki...

— Idjota! Pozostawiłeś samochód bez opieki. Złodzieje!... Policja-a!

Znowu zaszczekały psy, głośniej zaturkotała kołatka w ręku nadbiegającego stróża.

Wpobliżu rozległ się trwożny gwizdek.

Zaniepokojeni mieszkańcy wypadali z domów. Z łoskotem otwierano drzwi i okna.

— Policja!... Policja! Złodzieje skradli walizkę! Policja! — rwały się głosy zgiełkliwe.

Żako, przekręciwszy głowę nabok, napuszył się i wrzasnął:

— Hallo! Rozkaz panie generale! Szukaj wiatru w polu! Hehehe!

Orzeł drgnął nagle.

Podniósł skrzydła tak wysoko, że pióra szeleścić zaczęły, dotykając wierzchołka klatki, z trudem machnął niemi raz... po chwili jeszcze raz...

Prężąc szyję i głowę, z zamkniętemi oczami wydał jedno krótkie kwilenie, przenikliwe, groźne w swej tęsknocie i rozpaczy:

— Wolności!... Wolności!... — pochwyciły natychmiast zwierzęta i ptaki myśl, zawartą w niem, i już nie słuchały tego, co się działo za cienką ścianą szopy, gdzie rozlegały się złe, urwane, zgiełkliwe głosy ludzi; czuły, że tu w mroku i zaduchu zjawił się ktoś potężny i nieubłagany, — nowy ciemiężca i kat, a może — upragniony wybawca i opiekun.

Orzeł powolnym ruchem złożył skrzydła, przycisnął potworny, żółty dziób do piersi i z głuchym łoskotem i trzaskiem łamanych piór runął na dno klatki.

Leżał sztywny, nieruchomy i jakgdyby z chwilą każdą wtłaczał się, wciskał w brudne deski, przesycone ckliwą wonią gnijącego mięsa.

Wszystko zamarło i przyczaiło się w zwierzyńcu.

Wszystkie źrenice, serca i myśli były skierowane ku klatce królewskiego ptaka.

Jeszcze żyło echo namiętnego rozpaczliwego skwiru orła:

— Wolności! Wolności!

— Policja! Policja! — wrzeszczał tłum ludzki.

Jakiś przechodzień zatrzymał się wpobliżu zwierzyńca i powiedział do stróża:

— Dobrze im tak! Bogacze pędzą, jak szaleńcy, a na biednych ludzie błotem bluzgają... Niech się pomartwią!...

Jakiś człowiek, szybko przechodzący obok, wtrącił się do rozmowy głosem sennym, lecz surowym:

— Nie trzeba bąków zbijać, tylko pracować i pracować, a wtedy nędzarzy, włóczęgów i żebraków nie będzie...

— Spróbuj sam... — mruknął pierwszy.

— Nienawidzieć i zazdrościć — to wasza sprawa, ale do pracy — niema was, łaziki!...

— Opasły wieprzu!

— Należałoby odstawić takiego draba do aresztu, tylko czasu nie mam . . .

— Policja! Policja! — wrzeszczał tłum hałaśliwy, podniecony.

Żako otrząsnął się z przerażenia i bezmyślnie powtórzył wyuczone słowa:

— Policja! Policja! rrrety!

Przerwał swoje skrzeczenie i, namyśliwszy się, jął wykrzykiwać na całe gardło:

— Niespodzianka! Niespodzianka! Niespodzianka!

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

ROZPOCZYNA SIĘ DZIEŃ...

Lew stanął przy kracie i próżno szukał ognistych oczu orła.

Żółtemi ślepiami przebijał ciemność i zgęszczone opary zwierzyńca.

Widział czarną bryłę leżącego, nieruchomego ptaka.

Węszył...

Chrapliwie wciągał powietrze. Nagle zmarszczył paszczę i wbił pazury w deski.

Zrozumiał, czy domyślił się, co znaczy ten spokój i cisza w klatce orła.

Wyrzucił głuchy, krótki poryk, jakgdyby zapytanie, w przerażeniu zadane obłędnem.

Cisza mu odpowiedziała, głucha, bez echa.

Jeszcze węszył, jeszcze wpatrywał się w leżącego ptaka...

Już wiedział, już zrozumiał wszystko.

Z trudem roztwierając paszczę i wyciągając szyję, rzucał krótkie, częste westchnienie, do jęków podobne.

Nie było w nich żadnej myśli, tylko rozpacz bezmierna, zabójcza.

Wzdychał, słaniając się na nagle słabnących nogach, jęczał, padając, i, już leżąc, bezsilny, z gasnącemi oczami, żalił się komuś nieznanemu na pożerającą go tęsknotę nieznośną.

Zamilkł i zesztywniał dopiero wtedy, gdy w przerażonych, zbolałych źrenicach zagasła ostatnia iskierka migotliwa...

Chrapnął Bengal w przestrachu i popłochu.

Zasyczał ryś złowrogo... Ponuro odmruknął mu niedźwiedź... Zgrzytnął zębami Rudy Pan.

Słaby, szary świt sączyć się zaczął bojaźliwie przez szpary szopy.

Czarna małpka powstała z posłania i wdrapała się pod sam szczyt klatki.

Długo wpatrywała się w mdłą mgławicę przedświtu.

Basowym głosem zarechotała:

— Ou! Ou! Ou!

Witała pierwsza, jak zwykle, wypływającą z otchłani mroku płomienną, wspaniałą gwiazdę.

— Ou! Ou! Ou! — powtórzyły natychmiast jej czarne towarzyszki.

„Gustaw“ poruszył się i głośno brzęknął łańcuchem.

Jękliwie westchnął Kamo...

Coraz więcej światła wtłaczało się do zwierzyńca, wpadając przez otwory i szpary w ścianach i pułapie.

Tam i sam przeciągały się pasemka i jaśniały plamki różowych i złocistych promieni.

Przebudzone ptaki trzepotały skrzydłami, napuszały pióra i sennemi głosami spotykały świt.

Zwierzęta strząsały z siebie znużenie i strachy męczeńskiej nocy.

Jedne z nich stały zachwycone, wpatrzone we wrywającą się zewsząd powódź słoneczną, promienną, radosną; inne, obojętne i gnuśne, powstawszy, jadły opieszale lub chłeptały wodę.

Rudy Pan tak, jakgdyby na krótką tylko chwilę przerwał swoją pracę, długiemi palcami

majstrował przy sztabie, z nową siłą i uporem usiłując odsunąć ją lub wyłamać.

Przez całą noc przysłuchiwał się mowie zwierząt i ptaków, rozumiał wszystkie, lecz milczał, jak głaz.

Tęsknota nie zagnieździła się jeszcze w sercu „leśnego człowieka“, przed którym drżała nawet drapieżna, czarna pantera.

Ożywiała go płomienna, dobrze utajona nadzieja, że zwalczy moc żelaznej zapory klatki i wyrwie się z niej na wolność, nie myśląc o tem, dokąd pójdzie i co go spotka za ścianą ciemnej szopy.

— Arrr . . . — zgrzytały barwne arary, rozgryzając ziarna słonecznikowe.

Żako kołysał się w obręczy mosiężnej, przyglądał się bacznie nieruchomym ciałom orła i lwa i wzrok zdumiony przenosił na Bengala, zaczajonego, przerażeniem zdjętego i złem przeczuciem strwożonego.

Nagle nastroszył pióra, przekręcił głowę nabok i wrzasnął:

— Wujku Pawle! Hallo! Hallo! Niespodzianka! Hehe-he!

Clown Luś, ponuro klnąc, dzwonił kluczami i zdejmował ciężki zamek z drzwi zwierzyńca.

Mówił smutnym głosem do dyrektora:

— Nic nowego, panie! Dziś będzie tak, jak było wczoraj. Jutro — tak, jak dziś... E-ech! Tak upływają lata... Już siwizna nam przyprószyła czupryny...

— Łysy jesteś oddawna, Lusiu!... — zaśmiał się głośno długi, chudy, jak tyka, Paweł Roma.

Clown, nie odpowiadając na żart, ciągnął:

— Życie przeszło — niewiedzieć jak i poco!... Dla zabawy obcych ludzi... dla śmiechu i rozrywki „szanownej" publiczności!... E-ech! Podłe to życie!

Zaklął znowu i splunął.

Drzwi się otwarły szeroko.

Do zaduchu i półzmroku szopy werwała się struga świeżego powietrza i snop promieni jaskrawych.

Padły one zresztą na niezamieciona ziemię,

zaśmieconą papierkami, skórkami pomarańcz, łuską orzechów, słonecznikami, słomą . . .

Padły tuż przy drzwiach, jakgdyby w obawie, że zdradzą jakąś tajemnicę — straszną i okrutną.

— Hehehe! Hehehe! — zaskrzeczał, udając śmiech, Żako i gwizdnął przeciągle: — Fiu — fiut!

— KONIEC —

SPIS ROZDZIAŁÓW

Jadwiga Czarnecka.